Nr. 1.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XIX.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1913.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna **7 Kor. (7 Mk.)**; dla Ameryki **8 Kor.**

Od września 1912 r. przeniosła się Redakcya »Roczników« na Stradom, tam przeto upraszamy nadsyłać prenumeratę na rok 1913, oraz zaległą za rok 1912.

Adres: Redakcya »Roczników« — Kraków, Stradom 4.

Redakcya uprasza najuprzejmiej Czcigodnych Księży Superyorów oraz Czcig. SS. Przełożone o łaskawe nadsyłanie sprawozdań o pracy i stanie powierzonych im domów i dzieł. Jest to w myśl statutów ułożonych przy zakładaniu naszego kwartalnika oraz w myśl „Słowa wstępnego“, zamieszczonego w pierwszym zeszycie tychże „Roczników“ (1895 r.).

Załączamy też gorącą prośbę o pisanie nekrologów naszych Zmarłych.

Termin ostatni dla sprawozdań do następnego zeszytu „Roczników“ jest 11 lutego b. r.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XIX.

Biblioteka Jagiellońska
1003047178

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1913.

BIBLIOTHECA UNIV. JAGELL. CRACOVIENSIS

100018
II
19 (1913)

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska 13)
pod zarządem A. Szyjewskiego.

Bibl. Jag.

Kolegium i nowy dom Zgromadzenia w Erie Pa. (Ameryka półn.)

Dnia 2 września 1912 roku odbyła się uroczystość poświęcenia nowego kolegium w Erie, a równocześnie z kolegium otwarty został i nowy dom Zgromadzenia naszej prowincyi. Dzień poświęcenia był jakby obrazem i streszczeniem całej dotychczasowej historyi tej naszej nowej placówki. Uroczystość zapowiadała się ładnie, bo oprócz licznych uczestników i pogoda się obiecywała ładna, choć w tym czasie ogólny stan pogody był tam niepewny. W sam dzień poświęcenia słońce zajaśniało nad Erie wesoło i nie wątpił nikt, że pogoda będzie piękna. Wojska polskie, t. j. stowarzyszenia polskie w Erie od rychła rana poczęły wygrywać pobudki po ulicach i gromadzić się pod swoimi znakami. Tymczasem na godzinę przed zaczęciem uroczystości około godziny 9-tej poczęły z nad jeziora Erie nadciągać ciężkie chmury, w powietrzu było parno i zapowiadała się ciężka burza. Nadjeżdżali przed kolegium, które od miasta Erie jest oddalone około 7 km., goście w automobilach, Polacy liczni spieszyli to tramwajami, które w niewielkiej odległości od kolegium przechodzą, to pociągami, których 3 osobno zarząd kolei Pensylwańskiej puścił z Erie do nowo otworzonej stacyi o kilka kroków przed frontem kolegium, a nazwanej Canty Station. Nadjechał X. Biskup Rhode, który wieczorem dzień przedtem przybył z Chicago, przybył i miejscowy X. biskup Fritz Maurice. „Wojska polskie“ utworzyły szpaler od farmy należącej do kolegium, a położonej naprzeciw niego i przy dźwiękach muzyk, wśród tego szpaleru, ubrany pontyfikalnie w asyście licznego duchowieństwa przeszedł z farmy do kolegium

miejscowy X. Biskup. Ledwieśmy weszli do przedsionka kolegium zerwała się straszna burza, deszcz lunął rzęsisty, horyzont cały zaciemnił się strasznie. Przez cały czas poświęcenia szalała burza. Po poświęceniu gmachu przez Biskupa ordynaryusza wyszedł w wielkiej kaplicy kolegium z pontyfikalną sumą biskup polski X. Rhode, X. biskup ordynaryusz zasiadł obok wielkiego ołtarza na tronie. Kaplica, korytarz i cały budynek przepełniony uczestnikami uroczystości, więc gorąco nieznośne, a zewnątrz szalała dalej burza. Kazanie wśród sumy wypowiedział X. Rybiński, dziecko Erie. Księży było obecnych około 40, w przeważnej części angielskich. Skończyła się uroczystość, ustał też deszcz i znowu niebo poczęło się nad kolegium przyjaźnie uśmiechać.

Uczestnicy uroczystości wrócili do Erie, księża wszyscy z biskupami wzięli udział w bankiecie, który się odbył w Erie na sali „Kościuszki", gdzie w toastach podnoszono wielkie znaczenie tego nowego dzieła i wróżono mu piękną przyszłość. — My słuchaliśmy tych wróżb z pewnem sceptycyzmem i z jakąś bojaźnią. Dlaczego? Cała atmosfera, w jakiej się sprawa kolegium obracała, była jak ta pogoda w dzień poświęcenia. I w tej sprawie były ślicznie się zapowiadające momenty, świeciło słońce, były burze, a największe i najgroźniejsze w chwili samego otwarcia i znowu słonko i tak na przemian, niepewna i niestała pogoda.

Do podjęcia tego dzieła zostaliśmy prawie gwałtem wciągnięci, widzieliśmy więc w tem jeden ze znaków, że Bóg tego chce. X. Ignasiak, proboszcz parafii św. Stanisława w Erie ofiarował na ten cel gruntu kawał i parcele budowlane wartości przeszło 150.000 koron. Utworzył się komitet, do którego należało kilku poważnych obywateli z Erie i do którego przybrano naszych konfratrów, a który miał się zająć budową kolegium. Dobrego polskiego, katolickiego kolegium potrzeba, mówiono jednozgodnie i wzięto się do dzieła. Było to w roku 1909. Zgromadzenie zawarło z komitetem w roku następnym ugodę, że kiedy kolegium stanie gotowe, przejdzie na własność wyłączną Zgromadzenia, ze wszystkiemi

przynależnościami i zobowiązaniami. X. Janowski zajął się zbieraniem składek, z których zebrał około 70.000 kor. Komitet w porozumieniu z bankami wypuścił listy zastawne i rozpoczęto budowę. Gmach piękny, z ogniotrwałego materyału, mający pomieścić do 30C uczniów wznosił się szybko. Ale burze tymczasem zrywały się przeciwko temu dziełu liczne, które, jak się zdawało, dzieło rozbić były winne. Przeszły nie bez szkody, ale dzieła zniszczyć nie zdołały. Największa i najgroźniejsza burza zerwała się przed samem prawie otwarciem kolegium i szalała gwałtownie w chwili jego poświęcenia.

Od lat przeszło 30 istnieje w Ameryce północnej „Związek narodowy polski", stowarzyszenie przeważnie o celach ekonomicznych, liczące 90.000 członków. Z czasem wysunęły się na czoło Związku żywioły liberalne, nieprzyjazne duchowieństwu i religii. Ponieważ duchowieństwo czuło się w obowiązku zwalczania Związku mającego taki zarząd, więc wywiązała się walka otwarta między Związkiem i duchowieństwem. Prawda, że należy do Związku znaczna liczba ludzi uczciwych, katolików praktykujących, ale obecnie należą tylko dla tego, że uwięzili tam swoje wkładki i przez wystąpienie ze Związku niechcą ponosić znacznej szkody materyalnej. Związek jednak mimo to, wskutek katolicyzmowi wrogiej komendy jego, jest organizacyą sprawie Kościoła szkodliwą. Jak to u nas zwykle bywa, chce on swoje hasła, wrogie Kościołowi, ozdobić i usprawiedliwić jak najkrzykliwszemi hasłami patryotycznemi. Rości też sobie prawo do monopolu patryotycznego. Tymczasem powstają polskie szkoły średnie w Ameryce poza nimi. W Erie powstaje znów nowa taka szkoła i to zakrawająca na bardzo poważną, czysto polską, a co gorsza katolicką i to przez księży prowadzoną szkołę. Nie mógł na to obojętnie patrzeć Związek, rozporządzający wielkimi kapitałami, bo długoletniemi wkładkami 90.000 członków.

W jesieni więc zeszłego roku kupił niedaleko od Erie w miejscowości znanej jako letnisko, w pięknem położeniu, w Cambrige Springs, hotel, zw. Vanadium, i czemprędzej

zaczął go urządzać na kolegium. Za pomocą swojej prasy zaczął Związek swoje wiekopomne dzieło rozsławiać i uczniów werbować. Gdy mało to pomagało, zniżył w ostatniej chwili płacę dla kandydatów na połowę ceny, jaka była postawiona pierwotnie, i jaka jest dla kolegium w Erie, t. j. na 100 dol. Religię uchwalił zrobić w kolegium przedmiotem nieobowiązującym, pozostawionym do wyboru ucznia, aby w ten sposób wszelkie żywioły miały do kolegium przystęp. Była to wyraźna walka przeciw kolegium w Erie. Tymczasem rozgłoszono, że Vanadium, które oni kupili za 175 000 dol. ofiarowano na nasze kolegium za 75.000 dol. i poparto to dowodami. Z tego wynikało, że kiedy kupiono za 175.000 to, co można było kupić za 75.000, musiał ktoś z kupujących, czy pośredników schować 100.000 do kieszeni. Rozgłoszono nadto i znowu poparto dowodami, że ów wspaniały budynek Vanadium rozsypuje się i naprawa jego pochłonie wiele pieniędzy. — To wszystko pobudziło tamtą stronę do tem zjadliwszej walki i agitacyi za swojem kolegium. Najzaciętsza walka trwała właśnie w chwili, gdy Zgromadzenie kolegium w Erie na własność przejmowało i gdy się odbywały uroczystości jego poświęcenia. Jak jednak owa burza gwałtowna, która szalała w chwili poświęcenia kolegium, uroczystości nie udaremniła, choć ją nieco popsuła i odjęła jej dużo z zewnętrznej okazałości, tak było i z tą burzą wywołaną przez „Związek". — Dzieła naszego ona nie zniszczyła, choć nie można powiedzieć, żeby mu nie zaszkodziła, a zwłaszcza przyćmiła trochę blask, którym swoje dzieła lubią otaczać ludzie, osłabiła nieco pewność siebie, która się chciała w nie wkradać, co zresztą podobno tylko na dobre wychodzi. — Kolegium nasze, które ma się rozwijać stopniowo, otwarło I. klasę i liczy w niej 30 uczniów. Na czele kolegium jako jego rektor i superyor domu stoi X. Głogowski. Tutaj także osiedli Konfratrzy przeznaczeni do stałej pracy na misyach.

Widok nowego tego domu znany już jest czytelnikom Roczników z ilustracyi umieszczonej w Rocznikach przy opisie poświęcenia kamienia węgielnego pod ten gmach. Wy-

miary zaś jego w metrach są mniejwięcej następujące: długość budynku 60 m., szerokość w skrzydłach 35·33 m., wysokość piwnicy 2·5 m., wysokość parteru i I piętra 4·15 m., II piętra 5 m. Sale przygotowawcze na parterze 11 × 15 m., klasy na parterze 4 po 8 × 8·3 m., na I piętrze 4 klasy po 8 × 8·3 m., jedna 16 × 8·3 m., dwie sypialnie po 11 × 15 m.; prócz tego na I piętrze umywalnia 20 indywidualnych basenów, kąpiel (4 wanny z tuszami), magazyn na bieliznę itp. Na pierwszem piętrze biblioteka 11 × 8·3 m., duża sypialnia 35·33 × 27 m., gabinet zoologiczny 8 × 8·3 m., kaplica z 3 ołtarzami i siedzeniami na 250 osób, umywalnie i t. p., tak, jak na I piętrze. Sala gimnastyczna będzie w osobnym budynku (na II piętrze boiler-house'u) oczywista dopiero w przyszłości. We wieży można będzie urządzić gabinet obserwacyjny. Jest tam ładny i obszerny pokój z prześlicznym widokiem na wszystkie 4 strony. Kuchnia, spiżarnia, jadalnia studentów i ogromna rozmownica mieszczą się na parterze. Całe skrzydło wschodnie, z wyjątkiem części na II piętrze zajętej przez prezbyteryum i zakrystyę, przeznaczone jest na mieszkanie księży i ubikacye administracyjne. Cały budynek przedzielony jest obszernym korytarzem, jasnym i wygodnym, który będzie w razie niepogody (na parterze) służył za miejsce do spaceru dla studentów, o ile nie zechcą bawić się w sali rekreacyjnej. Tą salą obecnie jest druga sala przygotowawcza. Budynek cały przedstawia się imponująco i jest zupełnie ogniotrwały. Posiada ogrzewanie centralne parowe, własny motor elektryczny, własny gaz świetlny i czyszczenie (zamiatanie) zapomocą elektryki (vacuum cleaning — dosłownie: czyszczenie za pomocą próżni). Jest to pompa elektryczna, ssąca, która zbiera najmniejszy pyłek i zapomocą osobnych rur gromadzi wszystek brud w piwnicy, gdzie ładuje się go na taczki i wywozi na śmietnik.

Pomiędzy studentami zawiązało się już dotychczas kółko śpiewackie i klub atletyczny piłki ręcznej (base ball club). Program naukowy jest następujący: Godzin tygodniowo 30; z tego przypada: 7 angielskiego, 6 łaciny, 6 polskiego, 2 nie-

mieckiego, 3 matematyki, 2 religii, 2 geografii i 2 historyi. Nauka trwa codziennie od 9—12 rano, od 2—5 popołudniu, z wyjątkiem środy i soboty, w które to dni nauka jest tylko z rana od 9—12. Do spowiedzi św. obowiązkowo chodzą wszyscy co 2 tygodnie, a każdemu wolno przystępować częściej; do komunii św. wielu przystępuje codziennie, bo większość z nich chodzi co tygodnia do spowiedzi św. Konferencye duchowne są dwie tygodniowo: w piątek wieczorem i w niedzielę rano. Oprócz tego są 2 razy tygodniowo instrukcye. Dodać należy, że polski język jest językiem wykładowym religii, łaciny, historyi i geografii, inne zaś przedmioty wykładane w języku angielskim. W ten sposób zabezpiecza się młodzieży tego kolegium łatwość przejścia do uniwersytetów i równorzędność z młodzieżą kształcącą się w zakładach amerykańskich.

Patronem kolegium jest św. Jan Kanty, a Matce Najświętszej Niepokalanie Poczętej poświęcona jest piękna kaplica Zakładu.

X. K. S.

Wśród Polaków w północno-zachodnich Niemczech.

Celle (1—4 czerwca). Jest to starożytne książęce miasteczko (26.000 mieszkańców) wśród stepu luneburskiego. Dużo sobie Niemcy opowiadają i mnie naopowiadali o pięknościach przyrody w północnym stepie; wielu wycieczkowców wybiera się z dużych miast, zwłaszcza z Berlina i Hamburga w te strony, aby podziwiać cuda wszechmocy Bożej w przyrodzie (nie myśląc n. b. przytem wcale o Bogu); najwięcej gości jest tu w sierpniu i wrześniu, bo wtedy step w całej pełni krasy swej staje. Cieszyłem się już zdawna na to, że będę mógł z blizka te cuda bajeczne oglądać. Cokolwiek zresztą już widziałem. Ale nie wiele. Przejeżdżałem parę razy wzdłuż i wszerz przez sławny step, resztki lodowców z prastarych epok geologicznych. Jadąc z Berlina do Hamburga, potem z Bremy do Hanoweru, a wreszcie trzykrotnie z Hildesheimu do Wilhelmsburga i z powrotem, przejeżdżałem olbrzymie obszary stepu niemieckiego, bo miasta te wszystkie leżą nad jego brzegiem. Ale w ten sposób widziałem go tylko z okien pociągu z daleka, jakby w kinematografie, bo pociąg z szaloną szybkością pędzi po bezludnych przestrzeniach.

Teraz miałem według planu dokonać pastoracyi w Celle, t. zn. stanąć na żwirach, piaskach i morenach, któremi północne lodowce Skandynawii zasypały ziemię niemiecką, a które z biegiem czasów porosły mchami, wrzosami, jałowcami, brzozami — stepem i puszczą. Roślinność sucha, marna, chuda; brzozy i sosny nawet karłowacieją, a po kilku latach usychają. Nic dziwnego, że osad mało, ludzi niewiele.

Podczas gdy w Niemczech na 1 km^2 przypada przeciętnie 112 ludzi, a w Galicyi 101, to tu na 1 km^2 liczyć można tylko 19. W samym środku zaś stepu, około Wilsede jest obszar pierwotny, dziewiczy, o wielkości 4 mil kwadratowych, gdzie tylko 600 ludzi mieszka. Ale dlatego też to miejsce obrano na ochronę i ucieczkę przyrody przed niszczycielskiem działaniem kultury („Naturschutzpark").

Powiat Celle również niezmiernie rzadko jest zaludniony, 20 głów na 1 km^2. Zdawaćby się mogło, że już chyba tu Polaków nie znajdzie, bo i cóżby robili na takiem pustkowiu, które oprócz tego, o ile jest zaludnione, jest protestanckiem. A przecież, niestety, i tu zawitali nasi kulisi — niestety, bo na jałowej ziemi jałowe gospodarstwo i jałowa płaca. Przez cały czas swojej pastoracyi ciągle miałem baczne oko zwrócone na warunki dla wiary, dla moralności i korzyści doczesnych naszych wychodźców. Tu znalazłem najlichszą płacę. Nie chcę, by to, co mówię, wyglądało jak gołosłowny frazes. Przykład — a raczej dowód.

Spotkałem się tu z ludźmi naszymi, którym 70 fenigów płacono za dzień ciężkiej roboty w polu, od 5 godziny rano do 7 wieczorem. Wyraziłem zdziwienie, czemu tu na tak nizką płacę przybyli? jak się to stało? Z płaczem odpowiedzieli, że w domu (pochodzili z Rozwadowa), podpisali kontrakt na robotę w księstwach turyngskich, gdzie miano im płacić po 1·60 mk. dziennie, a przy żniwach po 2·40 mk. Tam też już zeszłego roku pracowali, i spodobało się im. Ale przyjechali do Mysłowic, ajent galicyjski ulotnił się, zjawił się ajent pruski, zażądał kontraktów, a ledwo okiem rzucił na nie, uznał za nieważne, podarł i kazał podpisać nowe, na pracę w Steinshorst (wiosce, należącej pod względem kościelnym do Celle), na płacę więcej niż o połowę niższą. „To czemużeście się na to zgodzili? czemu raczej nie wróciliście do domu? Tyle zarobku przecież i w domu znajdziecie, a nawet więcej"! „Nie mogliśmy wrócić, bo żadnych pieniędzy nie mieliśmy. Wzięliśmy tylko tyle, ile po-

trzeba na kolej z Rozwadowa do Mysłowic. Musielibyśmy chyba pieszo wracać do kraju".

W samem mieście o 10 minut od kościoła jest sześciu chłopaków i sześć dziewcząt z Niska, z Galicyi. Są na pracy u „bauera", który ogrodnictwo uprawia. Mają 70 fenigów na dzień dziewczęta, a chłopcy po 11 trojaków. Utrzymanie, t. zw. ordynarya, zupełne.

We dworze Dasselsgut jest 25 królewiaków, 6 mężczyzn, 19 kobiet. Dniówka wynosi 1·70 mk. dla mężczyzn i 1·30 mk. dla kobiet, obok ordynaryi 25 funtów ziemniaków tygodniowo i 1/2 litra mleka dziennie. Ci mają trzy godziny drogi do kościoła.

W Holdau pracuje 11 królewiaków. Dzionka po 1 mk. i 1·50 mk.; ordynarya jak w Dasselsgut.

W Alten Celle podobne płace.

W Eschede także są Polacy. Ci, z którymi ja mówiłem, pochodzili z Tarnopola. Dostają 80—90 f. dziewczęta, a chłopacy 1—1·20 mk.

Przyszła też grupa obszarpanych, brudnych, zaniedbanych robotników. Jedenastu wszystkich, 7 mężczyzn, 4 kobiety. Byli z Harste, gdzie dostają 1— 1·20 mk. Podobno to jakaś szkoła rolnicza dla żydów czy coś podobnego — nie mogłem się z nimi dogadać. Dosyć, że jest tam przeszło 40 żydków, a część z nich nawet z Galicyi.

Cokolwiek lepszą płacę mają w Winzenburgu, ale już w Habighorst znowu tosamo, a w Schwarmstadt jeszcze gorzej.

Licho się odżywiają i nędznie są ubrani. Przemęczenie, spracowanie wygląda im z podbitych oczu, bieda przez dziurawe łokcie i podarte łachmany. Sclavi — nie Slavi! Nie można było bez żalu na nich patrzeć. Ale cóż im litość moja pomoże! Czemu, po co tu przybyli? po co?! Zresztą litować się nad tymi nędzarzami — czy ich podziwiać? Podziwiałem ich. „Ale czemu wy tak licho się ubieracie? dziś przecież niedziela, a wy obdarci". „Nie mamy lepszego przyodziewku". „Przecież was musi być wstyd przed Niemcami". „A wstyd!

Cóż robić". „Jak nie macie, to moglibyście sobie już dotąd sprawić. Przecież już czerwiec, toście chyba już trochę grosza zarobili". „Zarobili— ale w domu ojciec i matka jeszcze biedniejsi niż my, tośmy wszystko do domu posłali". „Wszystko?" „Wszystko". „A sobie nic nie kupiliście?" „Nic, wcale nic". — Byli z pod Kańczugi. Było ich dwoje; brat 16-letni, siostra 18-letnia; od św. Józefa aż do 31 maja zarobili razem 150 złr. i tyle do domu posłali, bo „w domu jeszcze biedniejsi". Z początku wstyd ich było do całej nędzy swojej się przyznawać i łzy wstydu połykali, odpowiadając mi wobec gromady innych, bo czuli wyrzut w moich pytaniach. Szlachetną, nadzwyczajną pobudkę, która im centa dla siebie użyć nie pozwoliła, mogłem tylko pochwalić to, co jeszcze przed minutą za naganne uważałem niedbalstwo. Z ubrania, z bielizny, z obuwia nic więcej nie mieli, jak tylko to, co na sobie. I nie oni sami. Takich więcej tu znalazłem. Chleba sobie nawet nie kupią. Przez cały czas aż dotąd wyłącznie ordynaryą się żywią t. j. ziemniakami i mlekiem.

Inny wypadek. Jak wszędzie, tak i tu zaraz we wstępnej przemowie zażądałem od wszystkich włodarzy i przodowników spisu wszystkich robotników i robotnic z podaniem dworu (wogóle dokładnego miejsca pracy) i parafii ojczystej. Dostałem i tu wszystkie spisy na drugi dzień. Zostali w kościele już sami tylko Polacy. Po kazaniu z kartkami w ręku zbliżyłem się do ławek. Stwierdzam według dworów, czy są wszyscy. Następują ich narady, oglądanie się po sobie, szukanie i odpowiedzi: „jest" lub „niema". Byli prawie wszyscy. Ale Dasselsgut. „Kto jest z Dasselsgut?" Wstało 23. „Przecież jest was tam 25; gdzież 2 zostało?" Dowiedziałem się wszystkiego zaraz. Troje przyjechało z gubernii siedleckiej: dwu braci i jedna siostra. Przyjechali zupełnie obdarci, boso. Pożyczyli sobie zaraz w pierwszym dniu 256 marek od „bauera", 250 posłali do domu, bo tam rodzice i rodzeństwo młodsze głód cierpią, a za 6 mk. kupili parę lichych butów. Dług odrabiają, a butów używają we troje naprzemian, ale tylko od święta.

Że tak niesłychanie marne zarobki na roli, dlatego też tu pracują wyłącznie Galicyanie i Królewiacy. Ani jednego Poznańczyka ni Ślązaka nie widziałem, któryby tu pracował na roli. O ile są, pracują w przemyśle. I ten się tu rozwija i daje więcej zajęcia niż rola. Kopalnie soli n. p są w Holdau, gdzie 50 Polaków zarabia po 3—4 mk. dziennie. W cegielni Neumayera w Garsen zajętych jest 49 samych Polaków; płaca 2·40—4 mk. W Walding kopalnie soli. We Wietze tworzy się mały Borysław; wiercenia już w głębokości 50 m. Konstatują pokłady tryasowe, a w nich bogactwa nafty, ozokerytu. Pustynia, Sahara tu była wczoraj jeszcze, dziś zaludniło się pustkowie, przeszło 2000 robotników znalazło pracę. Przeważają oczywiście protestanci, a wśród katolików Niemcy, ale jest i trochę Polaków. W każdą niedzielę przybywa tu z nabożeństwem i z kazaniem ksiądz z Celle.

Tuż pod miastem przy kanałach robota. Są tam Królewiacy z gubernii kaliskiej, lubelskiej i siedleckiej. Na godzinę mają 38 fen. A że pracują przez 10 godzin dziennie, więc zarobek dzienny wynosi 3·80 mk. Przy „banie" zarówno Galicyanie, jak Królewiacy i Poznańczycy. Za godzinę 40—45 fen. Również 10 godzin trwa dziennie praca. Ale pędzą do pracy niemiłosiernie. Jeden Galicyanin z pod Rzeszowa z bólem wściekłości opowiadał: „Ani obejrzeć się, ani odsapnąć nie da banmajster. To nie tak jak u nas w kraju". Chciał parę razy już uciekać, ale żal mu się zrobiło pięknego zarobku, został. Płakał ze złości, kości chciał wyprostować, upadał z wyczerpania, „ale już jest banmajster, nic nie pyta, ino pędzi znowu do roboty". Dla takich to twarda, ale dobra szkoła.

Kilkudziesięciu ma zajęcie u Fr. Mararensa we Westercelle przy robotach betonowych. Bardzo dobre zarobki. Żeby dać poznać, wśród jakich stosunków zarobkowych tu pozostają, będę ścisłym. Dziś niedziela. Wczoraj była wypłata za 14 dni. W biurze przedsiębiorstwa każdemu robotnikowi dają kopertę. Na kopercie wypisane są godziny pracy i suma zarobku i wydatki w przeciągu 1 tygodnia, a wewnątrz cała na-

leżytość. Jeden z robotników jeszcze nie tknął zawartości. Jak dostał, tak to jeszcze ma dzisiaj. Pokazuje mi. Nazywa się Antoni Pichlak. Godzin pracował 124; każda po 50 fen., więc 62·00 mk. Z tego potrąca się za jedzenie i spanie 1·40, do kasy chorych 84 fen., do kasy inwalidów 40 fen.; razem wydatków 2·64 mk. Więc 62·00 mk. mniej 2·64. Dostaje zatem za 2 tygodnie 59·36 mk. czystego zarobku.

Wymieniłem dosyć dużo nazw miejscowości, ale wszystkie należą do parafii Celle i ze wszystkich miałem Polaków w kościele, na kazaniach i do Sakramentów świętych. Było do spowiedzi 287. A odległości są olbrzymie, 2, 3, 4 mile i więcej. Gromadka z kilkudziesięciu dziewcząt i chłopaków złożona przybyła o godzinie 11-tej w nocy do kościoła. Spowiadałem ich całą noc, a oni noc całą się modlili z płaczem; wymodlić się chcieli, bo 3 miesiące nie byli w kościele, a teraz znów może nie tak prędko w nim się zjawią. Przyszli w sobotę wieczorem, przez całą niedzielę nie ruszyli się z kościoła, a że zachęcałem do częstej Komunii św., więc chcą zostać przez noc w kościele aż do poniedziałku. W poniedziałek rano o 4-tej dostali Komunię św., o godzinie 5-tej wybierają się z powrotem. „Jak daleko macie do kościoła?“ „Bardzo daleko“. „Ile mil?“ „Nie wiemy“. „Jak długo szliście?“ „My przyjechali koleją“. „A ileżeście zapłacili?“ „Zapłaciliśmy 1·80 mk.“ „W jedną stronę?“ „W jedną stronę“. „A z powrotem znowu tyle?“ „Tak jest.“ — Według rozkładu jazdy obliczyłem, że tyle płaci się IV. klasą za 90 km.; a zatem 12 mil mieli do kościoła, a jednak przybyli. I dodać muszę, że należeli do tych, którzy po 70 fen. dziennie zarabiali.

W Celle jest więzienie poprawcze (Zuchthaus). Któż bardziej potrzebuje pojednania się z Bogiem, niż jego mieszkańcy. A może i Polaków tu znajdę. Rzeczywiście byli — z tą różnicą, że powiedziano mi, że jest ich 9, a ja się przekonałem, że tylko 6, a ów siódmy, którego mi sprezentowano, to Rusin z Kamionki Strumiłowej, ósmy Moskal czystej krwi z samego serca Rosyi, dziewiąty nawet jakiś Serb. Ale tu każdego, z kim się tylko dogadać nie można, a coś zbroił,

zalicza się do kategoryi Polaków, a potem na tem tle układą się statystykę zbrodni na niekorzyść rasy słowiańskiej, a zwłaszcza znienawidzonej narodowości polskiej.

Żeby wiedzieć, kogo będę miał przed sobą, chciałem się przedtem poinformować o zbrodni i karze moich baranków. W sekretaryacie dano mi ich akta do przejrzenia. Miejsca tu wogóle dla 600, ale teraz ich mniej, 488, i to 282 katolików, 128 protestantów, 48 reformowanych, 23 innych wyznań, 7 żydów.

Zaprowadzono mnie najpierw do kaplicy więziennej. W każdą niedzielę odprawia się w niej nabożeństwo protestanckie, a zaraz potem katolickie. Tu miałem wyspowiadać pięciu. Po jednym mi ich wprowadzano zawsze w towarzystwie dwu dozorców, a za każdym razem drzwi zamykano na klucz, tak, że zostawałem sam na sam w kaplicy ze zbrodniarzem. Ale wyspowiadałem tylko trzech; dwu innych wyspowiadać nie mogłem, bo jeden to ów serb a drugi moskal.

Pozostało mi jeszcze czterech. Ci mieli jako gorsi przestępcy więzienie celkowe, tak że przez cały czas kary z nikim widzieć im się nie wolno prócz dozorcy. Miałem pójść do nich, do celek. Szedłem z dozorcą długimi kurytarzami, z lewej i prawej masywne drzwi, we drzwiach ciężkie zamki, u góry maleńkie okienko. To celki. W nich skazańcy. Poszliśmy na 2 piętro. Schody od kurytarza oddzielone drzwiami. Starannie je za sobą zamknął. Ten, do którego zaraz dojdziemy, to Stanisław Kunczewski z Wyszkowa; razem z bratem swoim Jakóbem dopuścili się morderstwa. Brat o parę kroków dalej ma celę. Żeby czasu nie marnować, każdy z nich ma łyka trzcinowe, z których według wskazówek plecionki wyrabia Zgrzytnął klucz dwukrotnie w połowie drzwi, dwukrotnie w górnej części, dozorca odsunął żelazną zasuwę, wszedłem do celi. Podłoga czarna, asfaltowa, łóżko wpuszczone w ścianę zawiasami, w których łatwo daje się obrócić i na dół opuścić, tak że za dnia miejsca nie zajmuje. Pokój mały kwadratowy. Gdyby w środku stanąć i ręce rozciągnąć, to palcami ścian dosięgnie z obydwóch stron. Wysoko, tuż

pod sufitem, okienko z żelaznemi kratami. Poza tem stołek, dzban z wodą, łyka trzcinowe i nic więcej. Obaj bracia przykładnie odprawili spowiedź św.

Gorzej było w celi Matlakowskiego, który pochodzi z okolic Opola. Siedzi tu już od 11 lat i jeszcze 4 ma przesiedzieć za całą paczkę najpotworniejszych zbrodni i przewrotności tak nizkich i podłych, że lepiej o nich milczeć. Ani mowy o spowiedzi. Daremne moje argumenta. „A zresztą, z czego ja się będę spowiadał? Ja nie mam żadnych grzechów, tu przecież choćbym chciał, to nie mogę grzeszyć“. „Jakże — grzechów nie macie? Sami powiadacie, że 27 lat już nie byliście do spowiedzi — to to nie grzech? A potem — za coście się tu dostali? To choćby o tem myśleć, jest z czego się spowiadać“. „Co ja zrobił, to tam na dole zapisano w aktach. Za to ja już osądzony. Po co mnie jeszcze drugi raz sądzić?“

Nic nie wskórawszy, poszedłem dalej. Jakiś młody człowiek z Pniewa, strasznie czuł się nieszczęśliwym. Podchmielił sobie, wpadł w buńczuczną fantazyę i w awanturniczym zapale dla hecy wykonał bandycki napad z podobnymi koleżkami, szkody narobił, obił kogoś, ograbił i tu osiadł.

Kontent byłem, że wszystko skończone, że mogę już wyjść stąd; strasznie ponure, przygnębiające.

Gronau-Harsum-Bavenstedt (24—30 sierpnia). Od końca czerwca aż do ostatnich dni sierpnia pastoracyą wśród wychodźców zajęli się X. Paszyna i X. Sadowski. W Poznańskiem odprawiliśmy tymczasem z X. Witaszkiem jedną, z X. Bieniaszem kilka misyi. Przybywszy za drugim zawodem do Hildesheim, zastałem tu jeszcze X. Paszynę, który wybierał się na ostatnią swoją stacyę do Himmelsthür.

Rozpocząłem tym razem od miasta powiatowego Gronau. Kościołem parafialnym jest kościół podominikański. Naokoło zabudowania klasztorne. Pod jednym dachem probostwo, landratura, szkoła. Odwagi to nie dodawało. O ile w Celle Polacy rozrzuceni byli na wielkich przestrzeniach po kilku zaledwie, o tyle tu więcej skupieni, po kilkudziesięciu.

Tam nieurodzajna ziemia i dlatego też gospodarstwa małe, biedne, tu żyzna, bujna rola i dwory wielkie, w kwitnącym stanie. Dwory takie jak Banteln, Dötzum, Edinghausen, Haus Escherde, Brüggen, Reden, Barfelde należą do największych. Są tu prawie wszędzie Królewiacy i nie przypominam sobie, bym się tu spotkał choćby z jednym Galicyaninem. Są i Ślązacy i Poznańczycy, ale mało ich ; są włódarzami i przodownikami. Znają język polski i niemiecki i to im daje przewagę nad Królewiakami i Galicyanami. Mogą w ten sposób zapośredniczyć między pracodawcą a robotnikami.

Wyspowiadałem 283; zdaje mi się, że to byli wszyscy. Nazajutrz rano w poniedziałek po mszy św. wybrałem się do chorego z świętymi Sakramentami do Barfelde. Dosyć to daleko; półtorej godziny trzeba dobrze iść. Przykre to, że z P. Jezusem idzie się zupełnie prywatnie. Niepodobna inaczej. Dyaspora. Nawet nie w sutannie, tylko w surducie. A Najświętszy Sakrament niesie się w kieszeni, w bursie kształtu książki, raczej w portfelu. Chora leżała w kasarni, w osobnym pokoiku.

Dobrze jest dla naszych wychodźców, że pracodawcy są zobowiązani do płacenia pół na pół z robotnikami zabezpieczenia od choroby i od wypadku. Wlepia się do książeczek *ad hoc* znaczki po 16, 24, 32, 40 lub 48 fen. tygodniowo, zależnie od klasy zarobkowej, do której się robotnik zalicza. Rozróżniają wogóle w prawie zabezpieczeń 5 klas. Do I należą ci, co zarabiają po 350 mk. rocznie, do II 350—550 mk. rocznie, do III 550—850, do IV 850—1150, do V 1150 i więcej. Oczywiście, że u sezonowych robotników wchodzą w rachubę tylko pierwsze 2 klasy, a już rzadko kiedy trzecia. Płacą więc na tydzień 16 lub 24 fen., czasem 32 fen. (wolno bowiem w płacę roczną wliczyć także wartość ordynaryi). Z wkładek tych $^2/_3$ płaci robotnik, $^1/_3$ pracodawca. Mają za to z prawa, z kasy zabezpieczenia w razie choroby: lekarza, aptekę, bandaże (względnie szpital), a nawet połowę płacy dziennej. Zaopatrzywszy Sakramentami świętymi chorą w Barfelde, dowiadywałem się, czy jej wszystkiego się dostarcza, co

z prawa jej przysługuje. Najsumienniej. Obejrzałem jeszcze kasarnię, czystszą i schludniejszą niż gdzieindziej; popytałem o wysokość płacy i utrzymanie, lepsze bez porównania, niż w luneburskim stepie, i wróciłem kolejką lokalną do Gronau.

Już czekało na mnie na plebanii kilkoro ludzi. Prosili, aby im sprowadzić ks. Gawrońskiego „Wykład wiary“ na czytania niedzielne. Natychmiast wysłałem pieniądze i zamówienie przekazem. Książki nadejdą za pięć dni. Wyszli; dwu zostało. Chcieli rady. Przed 2 tygodniami umarł chłopak 18-letni. Śmierć nastąpiła wskutek wypadku w służbie. Zwoził z pola wózkami na szynach. Jeden wywrócił się, przywalił chłopaka. Odtąd już był chorym. Podniósł się wprawdzie, pracował dalej w tym dniu i jeszcze na drugi dzień, ale już z wielkiem wysiłkiem. W trzecim już wcale nie mógł, został w domu i nagle umarł. — Otóż rozchodzi im się o to, że skoro płacił zabezpieczenie od wypadku, więc się jemu albo jego rodzicom należała renta. — Już parę razy bolesną to dla mnie było rzeczą, że czułem się bezradnym w tego rodzaju kwestyach. Dosyć często się zdarza, że przychodzą po radę do księdza polskiego. Sam nie znałem się na niemieckiem prawie ubezpieczeń, dlatego u innych szukałem roztrzygnięcia kwestyi. Przeważnie poznałem, że im nie wiele na tem zależy, czy Polak jakiś dostanie rentę, czy nie. Musiałem innych dróg szukać, bo ci Polacy mają prawo do tego, żeby u mnie znaleźć pomoc i radę, której nikt inny na obczyźnie im nie udzieli. Nie umieli po niemiecku, włodarzowi nie ufali, (ja także nie), więc nie pozostało mi nic innego, jak na razie odesłać ich z obietnicą, że się tem zajmę szczerze, i kazać im przyjść do siebie po odpowiedź do Hildesheimu za tydzień, zwłaszcza, że niedaleko było. Sam tymczasem wziąć się musiałem do studyum ustawodawstwa niemieckiego o zabezpieczeniach, dorywczo naturalnie, bo w wagonie kolejowym w przejazdach z miejsca na miejsce, a po objaśnienia chodziłem do adwokata w Hanowerze, gdzie nie słyną z szowinizmu pruskiego, i do

tak zwanego biura ludowego („Volksbüro“) zarówno w Hanowerze, jak Hildesheimie.

Było to dla mnie o tyle łatwiejsze do wykonania teraz, niż dawniej, bo stąd miałem pojechać do Harsum, a zatem mogłem sobie podróż tak ułożyć, żeby przejeżdżać i przez Hanower i przez Hildeshaim.

W Harsum byłem dzień tylko. Nie potrzeba było więcej. Cudowny kościół. Polacy sami królewiacy znacznie lepiej się sprawują, niż gdziebądź indziej. Proboszcz miejscowy, zawołany botanik, z wielkiem uznaniem wyrażał się o nich. To się rzadko zdarza i dlatego zaraz w pierwszej godzinie czułem się u niego, jak w domu. W nocy wyspowiadałem wszystkich, poruszyłem ich, rano przyszli do Komunii św., a kiedy proboszcz poszedł do szkoły, ja wybrałem się ogladać kasarnię. Wolałbym lepszy porządek zastać. Wszyscy robotnicy byli w polu, została tylko włódarzowa i gromada dzieci. Wśród robotników jest kilku, którzy przyjechali z żonami i dziećmi. Wolno jednakowo zabierać z sobą tylko takie dzieci, które jeszcze lub już nie są zobowiązane do szkoły. Dzieci od 6 do 14 roku życia nie można zabierać z sobą z Galicyi ni z Królestwa. Nie puszczą ich przez granicę, w tych bowiem latach (6 do 14) obowiązuje w Niemczech przymus szkolny, a Niemcy nie chcą przyjmować do swoich szkół dzieci polskich. Jakkolwiek tu mają zarobki wcale dobre (kobiety i dziewczęta dniówkę po 1·30 mk., a w żniwa 2 mk, w czasie akordowej pracy jeszcze więcej, a mężczyźni 2, 2·70, 4 mk.), to przecież nie pozwolą sobie na żaden zbytek. A byłoby nim, w ich przekonaniu, gdyby prócz zwyczajnej ordynaryi jeszcze coś sobie dokupili. Jak tydzień długi, mięsa nie kupią, chleba nawet nie używają, jedyna omasta do ziemniakow to sól. „Czemu tak sobie żałujecie?“. „W domu dług na zagonie“.

W pobliżu jest cegielnia, w niej pracują Poznańczycy i Ślązacy za płacę 4 mk. dziennie.

Zupełnie anologiczne stosunki zastałem w Bavenstedt. Przybyli tu również robotnicy z Drispenstedt. W Drispen-

stedt niewielu; są u gospodarza. W Bavenstedt jest dwór, a zatem znacznie więcej robotników, bo 38. Byłem także w kasarni. Włódarzem jest Poznańczyk, robotnicy z Borzęcina, z Bielczy, z Jarosławia, a troje z Królestwa. Wszystko w latach 17 do 19. Na dole mieszkają dziewczęta, na piętrze chłopacy. Włódarz bardzo się na nich żalił, a oni na niego, n. p. z tego powodu, że jak deszcze padają, to muszą w kasarni siedzieć, a on nie umie im się o inną robotę wystarać i dla tego całe dni marnują i nie zarabiają, a przecież nie po to tu przyjechali. Ja myślę, że mieli racyę. Takie wypadki powinny być w kontrakcie przewidziane i wtedy albo powinno im się zwykłą dniówkę płacić albo wystarać im się o robotę inną. — Poza tem zarobki takie, jak w Harsum, zupełnie takie same. A suma zarobków na cały sezon? Biorę pod uwagę tylko tych, którzy zeszłego roku również tutaj byli. Dwoje dziewcząt z Borzęcina tamtego rok na zimę przywiozło rodzicom wspólnego zarobku 700 koron, a sprawiły sobie „przyodziewku" po dwoje z wszystkiego. Rodzeństwo, brat i siostra, także z Borzęcina zarobili wszystkiego razem 400 złr. Inna wreszcie rodzina wysłała troje rodzeństwa na Saksy, dwu chłopców i jedną dziewczynę. Ci żyli bardzo oszczędnie i ubiegłej zimy przywieźli do domu 1.300 koron. Byli z Bielczy. Żalili mi się, że tego roku chcieli jeszcze więcej rodzicom przywieźć, ale zdaje się, że ani tyle nie zarobią, bo ciągle słota.

Klęska dotknęła całe Zachodnie Niemcy. Deszcze ciągłe, chwilami grad, zboża stoją w polu, w snopach wyrastają. Nigdzie w całej Europie słota takich szkód nie wyrządziła w rolnictwie tego roku, jak tu. W kraju, w Galicyi lipiec i sierpień weselej wyglądał, deszcze przyszły później. Żniwa nasze były weselsze, bardziej słoneczne. Przypominałem je sobie często i porównywałem z tutejszemi. A że cierpieli na tem i robotnicy nasi, więc tem przykrzejsze wrażenie. W południe słuchałem w kasarni ich żalów. Właśnie mechanizm zegarowy wybijał na wieży „Anioł Pański", ale srodze mechanicznie, trzy razy po trzy uderzenia.

Odmówiliśmy modlitwy, ale odpowiadali jakimś grobowym głosem, ponuro. I w tonie dzwonu i w sposobie oddzwaniania odczuwali, że tam, w kraju wszystko inne, „że u nas inaczej, inaczej“.

„U nas teraz na wsi żniwa,
Złotokłosy spada plon.
Śpiewką żeńców dźwięczy niwa,
Na południe bije dzwon,
I przy drodze wierzba siwa
Da gromadzie spracowanej
Cień blaskami przetykany...“

Tęsknota za krajem wogóle jest najsilniejszem uczuciem w ich piersi, ale nie podejrzywałem grubych prymitywnych natur mazurskich, żeby tak drobne szczegóły zdołały je tak wysubtelizować. Ryczeli, wspominając strzechę i zagon ojczysty. Wszystkich coś rwało do domu. Rozdałem im medaliki cudowne i poszedłem. Ale w drodze musiałem przyznać sobie, że i ze mną to samo się dzieje.

„Mnie tu wpośród obcych stron
Śnią się ciągle takie żniwa
I ta wierzba i te łany
I do ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa.“

Ks. W. Szymbor.

Z dziejów Domu Stradomskiego.

II. Stradom na początku wieku XVIII.

1.

Po wyjeździe X. de Monteils, który opuścił nasz dom w październiku 1695 roku [1]), objął rządy X. Jan Antoni Fabri, rodem Włoch, późniejszy wizytator prowincyi polskiej [2]). Rządził domem przez 4 lata, od paźdz. 1695 aż do 20 paźdz. 1699. Stąd poszedł na superyora do Wilna. Na Stradomiu dokończył budowy skrzydła domu nowego, rozpoczętego przez X. de Monteils. Na co otrzymał od Księcia biskupa Małachowskiego 8.000 złp., pozostałych po X. Dutkiewiczu, proboszczu dyecezyi płockiej. Ówczesny stan domu stradomskiego możemy ocenić z rozporządzeń szóstej wizytacyi domowej, dokonanej przez X. Tarłę w czerwcu 1696 r. Zaleca konfratrom zachowanie porządku dziennego, nawet w czasie pobytu u nas ordynandów. W tym celu każe dawać znak dzwonkiem na wspólne ćwiczenia. Zaleca w pożyciu wspólnem praktykę miłości braterskiej. Prokurator zajmujący się zarządem wsi nie powinien długo bawić w Laskowej i tam nie należy miewać mszy św. w kaplicy domowej w niedzielę dla wier-

---

[1]) Cathalogus Missionariorum, qui manserunt in domo Cracoviensi in Stradom.

[2]) Jego żywot cfr. Mémoires de la Congrégation de la Mission: I. Pologne, str. 74 i nast.

nych, aby ludu nie odciągać od parafii. Gdyby zaś zaszła większa przyczyna, przemawiająca za dopuszczeniem wiernych do kaplicy w te dni, w takim razie należy mszę św. odprawić wcześniej, by lud mógł zdążyć także na mszę świętą do parafii [1]).

Wskutek zmiany superyora miejce X. Fabri zajął X. Łazarz Karol Nollet, Francuz spolszczały. On już poprzednio był na Stradomiu, w latach 1688—1693. Teraz starał się wprowadzić w czyn dalsze zamiary X. de Monteils odnośnie do ordynandów. Konieczną do tego rzeczą było nabycie jakiejś ziemskiej majętności, z którejby dochody można obracać na stałe utrzymanie ordynandów, ciągle na Stradom się zgłaszających. W tym celu X. sup. Nollet kupił wioskę Lgota od X. Ludwika Siemiradzkiego, krakowskiego kanonika, a proboszcza w Jedlinie, za 30.000 złp. Pieniędzy na ten cel dostarczył w części książę-biskup krakowski. Dał 12.000 złp. Dalsze 10.000 ofiarował p. Nollet, ojciec X. superyora stradomskiego, który ofiarował je ad supplicationes, gdy X. Nollet ciężko zachorował i był blizkim śmierci. Na resztę zaś zaciągnięto dług. Kupno doszło do skutku w sobotę po Niewiniątkach 2 stycznia 1701 roku. Urzędowa intromisya nastąpiła w roku 1704. Również X. Nollet kupił drugą wioskę zwaną Lubienieckie, leżącą za Wisłą. Była to bardzo korzystna transakcya, bo wioska nie była obciążona ani długami ani też hibernami wojskowemi [2]). Wkrótce potem, d. 28 sierpnia 1701 r. X. Nollet zakończył swe życie i został pochowany na Stradomiu. — Za jego rządów X. wizytator Tarło odprawił wizytacyę domu zaraz po śmierci księcia-biskupa Małachowskiego, który zmarł d. 20 sierpnia 1699 roku. W dekrecie wizytacyjnym wyraża wielką radość z powodu licznych misyi, jakie konfratrzy stradomscy dawali, i cieszy się dziełem ordynandów tak pięknem i ślicznie się rozwijającem. Gdy znowu w dwa lata później, we wrześniu 1701 r. przybył na wizy-

---

[1]) Decreta visitationum domus stradomiensis.

[2]) Kronika stradomska, str. 104.

tacyę X Tarło, znalazł nasz dom już nie tak wzorowym. Śmierć X. sup. Nolleta i pewne rozluźnienie budzą w nim smutek. Wskazuje więc na zachowanie reguł jako najlepszy środek do skutecznej poprawy.

Następcą na superyorstwie został po nim X. Jakób Ignacy Cyboni. Przybył na Stradom 25 października 1701 r. Był to człowiek kochający Zgromadzenie. Za prywatne pieniądze otoczył nasz ogród murem sięgającym aż do stajen dla koni. Spełniając różne obowiązki swego dosyć uciążliwego urzędu, nie poniechał także misyj i innych spraw dotyczących Zgromadzenia. Kilkakrotnie brał udział w konwentach generalnych. I tak, gdy umarł generał X. Edmund Jolly, w roku 1697 wybrał się na konwent generalny z X. Fabri naówczas superyorem chełmińskim i X. wizytatorem Tarłą. Na tym konwencie wybrano przełożonym generalnym X. Mikołaja Pierron, chociaż z początku zwracano oczy na X. D. Faure. Lecz Ludwik XIV, na skutek intryg dworu, powiadomił uczestników konwentu, że za generała nie uzna nikogo, ktoby nie był francuskim obywatelem. Tymczasem X. D. Faure był obcokrajowcem, pochodził ze Sabaudyi. Taka uzurpacya rządu francuskiego przeciw swobodom i prawom całego Zgromadzenia napełniła słusznem oburzeniem uczestników Konwentu. Zwłaszcza deputaci włoscy i polscy założyli protest przeciw złamaniu swobody wyborów. Włosi uczynili to na piśmie i we formie ostrej, Polacy zaś, a właściwie X. Tarło ustnie tylko zawarował prawa swej prowincyi. Poczem sprawa się nieco uciszyła i wybrano generałem X. Pierron, zastrzegłszy na sesyi drugiej, że nadal ma zostać w całej mocy ustawa konstytucyi naszych, mocą której każdy kapłan Zgromadzenia, mający 12 lat po ślubach i inne wymagane warunki, zwłaszcza zaś wolny od przeszkód kanonicznych, ma bierne prawo wyboru na ten najwyższy urząd Zgromadzenia. Gdy X. generał Pierron zapadł na apopleksyę i złożył swą godność, pojechał X. Cyboni po raz trzeci z tymi samymi towarzyszami na obiór nowego przełożonego Zgromadzenia. Wybrano X. Franciszka Watel w sierpniu 1703 r. Z tego,

że X. Cyboni był trzy razy po kolei wybierany deputatem do Paryża — pierwszy raz w roku 1693 — widać, że go uważano za znakomitego Misyonarza, zasługującego na pełne zaufanie. Cieszył się uznaniem i wpływem u konfratrów.

Pośród postanowień, jakie X. wizytator Tarło wydał na wizytacyi, w roku 1706 odbytej na Stradomiu, uderza nas zakaz słuchania spowiedzi w naszej kaplicy stradomskiej, otwartej dla wiernych. X. Tarło zabronił Misyonarzom spowiadać ludzi, z wyjątkiem tych tylko, którzy u nas odbyli ćwiczenia duchowne czyli rekolekcye. Zakaz swój opierał na tem, że według bulli erygującej nasze Zgromadzenie, taka praca nie jest zadaniem Misyonarzy. Cel bowiem i funkcye Zgromadzenia Misyi, według bulli Urbana VIII „Salvatoris nostri", z dnia 12 stycznia 1632 roku, w ten sposób są wyrażone: „Videlicet quod huiusmodi Congregationis illiusque personarum praecipuus finis et peculiare institutum sit, divina favente gratia, cum propria salute, in eorum salutem incumbere, qui in villis, pagis, terris, locis et oppidis humilioribus commorantur; in civitatibus autem et urbibus, quae archiepiscopatuum, episcopatuum, parlamentorum et bajulatuum titulis insignitae sunt, clerici et sacerdotes dictae Congregationis nulla publica eorum Instituti munera obeant; privatim tamen eos, qui ad ordines promovendi fuerint et ad eos, spatio quindecim dierum ante promotionis tempus, ad spiritualia exercitia et confessionem totius vitae faciendam mittentur, ad eosdem ordines suscipiendos instituant", etc.[1]). NB. Bajulatus i Parlamentum były to wyższe sądy francuskie, okręgowe i prowincyonalne. — To ograniczenie stosowano z początku ściśle i dosłownie w praktyce z dwóch powodów: Najpierw dlatego, że wtedy lud wiejski i małomiejski był rzeczywiście bardzo opuszczony i słusznie oczekiwał od Zgromadzenia naszego najusilniejszej pracy ratunkowej, a powtóre Misyonarzy było jeszcze tak mało, że nie mogli podołać

---

[1]) Acta Apostolica, bullae, brevia et rescripta in gratiam Congregationis Missionis. Parisiis 1876, str. 4.

pracy misyjnej i innym wielkim zadaniom Zgromadzenia [1]. Słusznie więc starał się X. Tarło zachować całą energię Misyonarzy dla ludu i biednych. Z tej przyczyny nie pozwalał im spowiadać w Krakowie. Z czasem wszakże stosunki społeczne zmieniły się bardzo. Dziś lud wiejski i po małych miastach o wiele lepiej jest opatrzony pod względem duchownym niż biedni robotnicy i lud po wielkich miastach. Nędza wielkomiejska o wiele więcej potrzebuje pomocy niż inni. Dlatego słusznie wnosić możemy, że gdyby św. Wincenty żył w naszych czasach, z pewnością rozkazałby nieść ratunek także i tym ostatnim. On bowiem wybierał dla swego Zgromadzenia tych, którzy przez innych kapłanów są zaniedbani. Za tą myślą przewodnią poszli późniejsi Misyonarze i po całym świecie pracują także we wielkich miastach w swych kościołach nad zbawieniem ludu miejskiego, słuchając spowiedzi, głosząc słowo Boże i administrując Sakramenta św. Wszakże dzieje się to bez zaniedbania misyi ludowych. — Była to już ostatnia wizyta X. Tarły na Stradomiu; został bowiem biskupem poznańskim w roku 1710.

Za rządów X. Cyboniego, ksiądz prokurator Marcin Noyszewski złożył akta zakupna Lgoty w grodzie krakowskim 1711 roku. W następnym zaś roku nowy wizytator prowincyi polskiej, X. Michał Kownacki, zamianowany na ten urząd przez księdza Jana Bonnet, generała Zgromadzenia, przybył wizytować Stradom. Napomina do zachowania reguł pod wielu względami.

Czasy były niespokojne. Już od roku 1700 trwała t. zw. Wojna północna, w którą się wmieszał król polski August II, mimo że naród nasz wojny tej nie chciał. Wojska saskie i rosyjskie, walczące ze Szwedami, jak również partyzanci polscy, z których jedni brali stronę Szwedów a drudzy Sasów, niszczyli kraj polski przechodami i rekwizycyami. Zwła-

---

[1]) Konwent generalny V., z 16 w roku 1692, zabronił spowiadać w większych miastach, w których mamy domy, i to nawet chorych po szpitalach i więźniów po więzieniach.

szcza zaś z chwilą, gdy Karol XII wymógł złożenie z tronu Augusta II, wspieranego przez cara Piotra W., i przeprowadził wybór Stanisława Leszczyńskiego na polskiego króla, zapanował w kraju zamęt, a co za tem idzie, ruina dobrobytu materyalnego. Nasz dom odczuł to także w znacznej mierze. Czytamy w kronice domu Stradomskiego (na str. 104): „Za jego (ks. Cyboniego) superyorstwa ucierpiał dużo ksiądz Cybulakowski, asystent domu stradomskiego, który stawał w obronie wiosek, należących do tego domu, przeciw grabieżom Sasów, Szwedów i Polaków, przez dziewięć lat". O tych smutnych stosunkach w Polsce doniósł Zgromadzeniu X. Watel, superyor generalny, w liście noworocznym 1707. Położenie było tak trudnem, że od roku 1700 aż do 1709 konfratrzy nie odbywali wcale misyi. Szwedzi bowiem, jak powiada Liber missionum domus Stradomiensis pod datą 1709, zajmowali województwo krakowskie i uniemożliwiali pracę misyjną. Dopiero w roku 1709 podjęli je na nowo z całą gorliwością. Pracowali we trzech lub czterech. Ksiądz superyor Cyboni był na każdej. Obok niego znajdujemy w latach 1709—1713 księży konfratrów Kasprowicza, Smoleńskiego [1]), Zaleskiego, Siedleckiego, Nojszewskiego, a pod koniec X. Grenu. Był to Szwed ze Sztokholmu. Umarł jako superyor w Gdańsku w roku 1736 [2]). Odprawiali misye w r. 1709 w Bejscu i Rachfałowicach. W następnym roku byli w Sące. Dalszej pracy przeszkodzili wtedy Moskale, zajmując Kraków. W roku 1711 byli na misyach w Zbyszycach. Skryptor notatek misyjnych narzeka na wielkie rekwizycye, jakiemi Moskale przygniatali lud wiejski. Później znajdujemy misye w Busku, Wawrzeńczycach, na której było 4.600 uczestników, w Chrobrzu i Kielcach. W roku 1712 w Szydłowie i Radomiu; w 1713 w Lewartowie.

W czerwcu 1713 wezwano X. Cyboniego na superyora nowo fundowanego domu w Lublinie. O nim czytamy w Mé-

---

[1]) Mémoires I, str. 177.

[2]) Mémoires I str. 210.,

moires (tom I, str. 193), że był kapłanem wielkiej pokory i posłuszeństwa. Przy tem odznaczał się darem rzadkiej roztropności.. Nic więc dziwnego, że konfratra tej miary przełożeni używali do ważniejszych zajęć w Zgromadzeniu. Był poprzednio profesorem teologii, dyrektorem seminaryum w Chełmnie, w Krakowie na Stradomiu, w Lublinie, a wreszcie w Łowiczu, gdzie objął przełożeństwo po X. Szymonie Zakrzewiczu. Jako superyor łowicki umarł w Warszawie d. 19 listopada 1828.

Na Stradomiu został po nim przełożonym X. Piotr Potyralski. W czasie swych krótkotrwałych, bo zaledwie trzechletnich rządów (1713—1717) pracował pilnie nad rozwojem materyalnym i moralnym naszego domu. W kaplicy domowej posrebrzył wielki ołtarz. Zbudował w ogrodzie jakąś osobliwą altanę: Mirabilem altanam in horto ex muro exstruxit [1]).

W czasie wizytacyi zalecił X. wizytator Jan Antoni Fabri, dawny superyor stradomski, żeby między konfratrami starszymi i młodszymi było więcej miłości i zgody. Zabronił zbytniej gościnności względem swoich i obcych, ilekroć to wychodzi na szkodę reguł. Wizytę tę odbył wkrótce po śmierci biskupa Tarły, w roku 1715. Również praca misyjna nie ustawała, pomimo wielce niespokojnych czasów. W roku 1714 odprawił X. Potyralski misyę w Rybiem. Pomagał mu X. Steffen, prefekt seminaryum zamkowego, i dwóch konfratrów ze Stradomia: X. Weber i X. Kasprowicz, będący prokuratorem wsi Laskowej. Misya udała się nadspodziewanie dobrze, pomimo że przypadła na czas klęski głodowej. Misyonarzom groziło wielkie niebezpieczeństwo od band zbójeckich, kryjących się w sąsiednich górach. Rybie jest wioską górską o milę od Laskowej leżącą. — Na misyą w Iłży odbytą w r. 1715 przybył z superyorem stradomskim także superyor Cyboni z Lublina i X. Płoński ze Stradomia. Taka straszna panowała nędza w tej miejscowości, że ludzie marli z głodu jak muchy, powiada Liber missionum. Żywili się plewami,

[1]) Kronika Domu Stradomskiego str. 104.

które zaprawiali solą. Głód powszechny dziesiątkował mieszkańców. Misyonarze spieszyli im więc z pomocą nietylko duchowną, ale także materyalną, dając codzień u drzwi kościelnych jałmużnę dla dwustu osób przez cały ciąg misyi, która trwała przez półtrzecia tygodnia. Biednym tym ludziom brakowało więcej chleba doczesnego niż duchownego. — W tymże roku dawali misye w Zatorze. Tu mieli znaczne trudności. Musieli dopiero zdobywać sobie lud swoją pracą. Zwłaszcza zaś sprawiało im kłopot niemały to, że parafianie byli w exkomunice od dłuższego czasu. Kościół był zupełnie zaniedbany, bo nie było pasterza. Lecz misya odniosła pożądany skutek i naprawiła stosunki. Ze Stradomia byli wtedy na misyach oprócz X. superyora, X. Jabłoński i X. Płoński, a pomagał im także X. Steffen. W roku następnym była tylko jedna misya w Gaju, gdzie z X. Potyralskim pracowali XX. Cybulakowski, Birkowski i nowy prefekt na Zamku X. Bartłomiej Słupczyński. Po trzech latach urzędowania X. Potyralski przeniósł się na superyorstwo do Płocka.

Po nim objął urząd superyora na Stradomiu X. Szymon Steffen, dnia 14 kwietnia 1717 roku. Pracował w naszym domu nie całe dwa lata, bo już w styczniu 1719 roku poszedł z woli przełożonych po raz drugi na Zamek jako prefekt tamtejszego seminaryum. X. Steffen pochodził z Heilsbergu w Warmii, gdzie się urodził w roku 1663; wstąpił do Zgromadzenia w Warszawie. Sprawował urząd dyrektora seminaryum internum po X. Fabri. Kilkanaście lat odprawiał misye. W roku 1711 jako prefekt seminaryum in Arce, był z X. wizytatorem Kownackim i X. Słupczyńskim na konwencie generalnym, na którym wybrano superyorem generalnym X. Jana Bonnet. Na konwent ten spóźnili się z powodu złej drogi, lecz ponieważ dali znać zawczasu o swojem spóźnieniu, zaczekano na ich przybycie z rozpoczęciem konwentu. Nowy generał zamianował X. Kownackiego rzeczywistym wizytatorem, gdyż dotąd był tylko wicewizytatorem, w zastępstwie X. biskupa Tarły. X. Steffen oddawał się na Stradomiu zwyczajnym w tym domu zajęciom, tj. zarządowi

domu, misyom i pracami nad ordynandami. Konfratrów było stosunkowo do pracy zawsze mało, bo oprócz superyora było z początku zazwyczaj tylko dwóch kapłanów i tyluż braci; później zaś czterech tylko księży. Na misyach bowiem widzimy zazwyczaj tylko trzech. Ponieważ ktoś musiał zostać w domu, a niekiedy także konfrater przebywać był zmuszony na wsi, więc można liczyć, że ich bywało najwyżej pięciu. Stwierdza to także Cathalogus Missionariorum, qui manserunt in domo Cracoviensi in Stradom. Zauważyć można dosyć częstą zmianę konfratrów; w każdym roku przynajmniej jeden lub dwóch przybywa lub odchodzi. Co uzasadniało tę częstą zmianę, nie wiemy, chyba ogólny brak pracowników w ówczesnym stanie Zgromadzenia: messis multa, operarii pauci. Tem się też tłómaczy, że konfratrzy z innych domów nieśli pomoc Stradomiowi, o ile możności. Widzimy więc, że w roku 1717 na misyi we Wianowicach odbytej oprócz superyora X. Steffen i jego konfratrów: X. Wojciecha Melchera i Marcina Kelche, pomagał im X. prefekt Słupczyński, tak jak dawniej czynił to X. Steffen względem X. Potyralskiego. Prefekci mogli łatwiej oderwać się od zajęć, bo nie byli profesorami kleryków, a mieli tylko ogólne kierownictwo i zarząd spraw seminaryjnych, które im nie przeszkadzały do takich wycieczek apostolskich. Na następnej misyi w Łącku odbytej pracowało aż pięciu konfratrów, bo to była misya znaczna. Komunikowało w czasie niej do 4.600 wiernych. Oprócz wyżej wymienionych konfratrów widzimy tam jeszcze X. Pawła Kochańskiego i X. Walentego Smoleńskiego z naszego domu w Przemyślu, który chwilowo bawił w Krakowie za interesami [1]). W tymże roku odbyli jeszcze misyę w Birkowie i w Chomranicy, wsi leżącej o dwie mile od naszej wioski Laskowej. Był na tej misyi także X. Franciszek Sowiński. Na misyi w Pełesznicy był z początku X. Steffen, lecz z powodu ogromnych kolek musiał wrócić do Krakowa,

---

[1]) Żywot X. Kelche podają Mémoires I, str. 178; X. Smoleńskiego str. 177; X. Melchera str. 218.

a zastąpił go X. Czechowicz. Potem dali misyę w Grudzinie, w dekanacie Jędrzejowskim, z początkiem roku 1718. Na misyi w Białej, nad granicą Śląska, zaraz potem odbytej, rozwijali nasi pracę nad nawróceniem protestantów. Nagromadziło się ich tam mnóstwo, zwłaszcza ze sąsiedniego Bielska, który należał do Austryi. Książę-biskup krakowski Kazimierz Łubieński ustanowił komisyę przeciw heretykom, którzy opuścili Śląsk wskutek rozporządzeń rządu austryackiego przeciwko nim wydanym i schronili się na terytoryum polskie. Lecz ani komisya, ani też dekret Księcia-biskupa, mocą którego zostali wydaleni wszyscy uporni heretycy, nie skłonił ich do nawrócenia się. Nasi zdołali pociągnąć do wiary św. tylko sześciu. Konfratrom pomagał tutaj X. Słupczyński i X. Smoleński.

Ostatnie dwie misye odprawił X. Steffen w Rychwałdzie i Ruszczy. W Rychwałdzie trwała misya przez miesiąc. Tamtejszy proboszcz X. Pluciński zaprosił sąsiednich proboszczów, a ci przybyli ze swymi parafianami na misye tak, że zebrało się około 10.000 ludzi. Wprawdzie wszyscy wyspowiadali się i przystąpili do Komunii św., lecz to nie była misya taka, jaką zwykli byli odprawiać Misyonarze, pracując wyłącznie sami tylko nad wiernymi i działając na nich według stałego systemu. Tu musieli pomódz Misyonarzom także okoliczni kapłani, gdyż obcy parafianie nie mogli długo bawić na miejscu.

W sierpniu 1718 roku X. wizytator Fabri zabronił w czasie wizytacyi używania napojów palonych. Zalecił odbywać misye według odnośnych reguł i systemu w Zgromadzeniu używanego. Prokuratorowi wsi Laskowa kazał o ile możności przebywać częściej w Krakowie, żeby przez pobyt zdala od domu nie stracił ducha Zgromadzenia. Tak bowiem rozporządził konwent prowincyonalny odbyty w Warszawie 17 kwietnia 1703.

X. Steffen wezwany został na prefekta seminaryum zamkowego. W roku 1724 został wizytatorem naszej prowincyi, a w następnym roku zmarł świątobliwie w Warszawie.

Jego stanowisko na Stradomiu zajął dotychczasowy prefekt z seminaryum wawelskiego, X. Bartłomiej Słupczyński. Zamienili więc między sobą swoje urzędy. Ten ostatni zaznaczył swe urzędowanie położeniem fundamentów pod nasz kościół stradomski, o którym później mówić zamierzamy. Spełniał dalej zwykłe funkcye domu naszego. W marcu 1719 roku był na misyach w Żabnie, a potem w Skale, miasteczku należącem do PP. Klarysek u św. Andrzeja w Krakowie. Konfratrom pomagał także seminarzysta X. Chmura. Ze Zamku przybył na misye X. Sidelski. W tymże roku była misya w Jangrocie, a następnie w Sułoszewie, czyli Pieskowej Skale, później w Mysłowicach i Starym Sączu. Dnia 17 września 1720 r. poszedł X. Słupczyński na stały pobyt do Wilna [1]). Później X. Słupczyński wrócił na Stradom dla dawania misyi 1725. Umarł jako asystent stradomski 1830 roku.

Na superyora przybył z Lublina X. Fabian Cybulakowski 6 grudnia 1720 r. Znał dobrze dom stradomski, bo był tutaj asystentem za przełożeństwa X. Cyboniego. Był to człowiek bardzo ruchliwy. Zabrał się więc zaraz do reperacyi domu: odmalował bramę domową, wybudował dwa ołtarze w kaplicy, dokończył muru dookoła ogrodu, prowadził dalej budowę kościoła. Mianowicie mury obielił, inkrustował i ponaprawiał. Oprócz tego oddawał się pilnie misyom pomimo małej liczby konfratów [2]). W ciągu pięcioletniego urzędowania odprawił następujące misye. W r. 1720 odbył misyę w Dobczycach, w następnym dał misyę w Krzeszowicach. Pracowali z nim XX Sowiński i Augustynowicz, który jako subdyakon przybył na Stradom z Warszawy 25 października 1720 roku. W marcu 1721 roku byli w Myślenicach i Szydłowcu. Potem w Zdole i w Żywcu. Podczas tej ostatniej misyi wybuchł w Żywcu pożar: spaliło się 50 domów i dzwonnica kościelna razem z dzwonami. Później była misya w Kętach.

Stan wewnętrzny domu naszego poznajemy z trzynastej

[1]) Cathalogus Mission. ven. in Stradom a. h.
[2]) Kronika stradomska str. 107.

wizyty, odbytej w roku 1721 przez X. Jana Antoniego Fabri. Zaleca mniej wychodzić do miasta. Uderza nas tutaj przepis zalecający naszym księżom, żeby nie brali udziału w rekreacyi ze seminarzystami świeckimi, aby nie stracić powagi i wpływu na nich.

W dniu 24 kwietnia 1725 pojechał X. Cybulakowski do Wilna na superyora. „Lecz — dodaje Kronika stradomska, strona 108 — nie otrzymawszy czego chciał (non factus compos votorum) poszedł do Gniezna, gdzie po kilku miesiącach, nie wiadomo czem zniechęcony, opuścił Zgromadzenie“.

Superyorem zaś na Stradomiu został X. Szymon Zakrzewicz, dotychczasowy przełożony w Łowiczu. Przybył dopiero 22. września. Z nim równocześnie przybył X. Słupczyński na asystenta domu i X. Marcin Turski[1]). Wkrótce potem przybył na wizytacyę domu X. Michał Mateusz Walther, wizytator prowincyi polskiej, który w surowych słowach, jak to miał w zwyczaju, karcił różne uchybienia, jako to przyjmowanie pokarmów od obcych i skryte spożywanie takowych, bywanie i zabawa u obcych. Nakazuje odprawiać codziennie mszę św. i medytacyę, odbywać komunikacyę. Upomina, aby podwładni przełożonymi nie pogardzali, aby nikt nie wynosił się z uczoności i wiedzy, jak to zauważył u niektórych. Wskazał zaś milczenie, jako ogólną podstawę usunięcia uchybień. Nadto polecił konfratrom, żeby podpisali bullę Klemensa XI „Unigenitus Dei Filius“ z d. 8 września 1713 roku. Podpisali: Simon Zakrzewicz, sup. domus strad., numquam contrarius oraculis Sanctae Sedis, me subscribo manu propria. Dalej podpisał jeszcze X. Bartłomiej Słupczyński, asystent domu, i wspomniany X. Marcin Turski. Wszyscy inni konfratrzy podpisali rzeczoną bullę w czasie pobytu w innych domach. Ten akt był nakazany na dziewiątym konwencie generalnym, odbytym w roku 1714. We Francyi szalała wówczas burza Jansenizmu i Quesnelianizmu,

---

[1]) Cathalog. ven. in Stradom h. a.

który szerzył się w sposób zastraszający, pomimo że Stolica św. potępiła go kilkakrotnie. Przeciw Jansenistom wystąpił Innocenty X. w 1653 roku w bulli „Cum occasione“ i potępił owe pięć głośnych zdań wyjętych z dzieła „Augustinus“, napisanego przez Korneliusza Janseniusza, profesora uniwersytetu lowańskiego, a później biskupa w Ypern. Wprawdzie przewódca jansenistów X. Antoni Arnauld, profesor Sorbony przyznał, że takie zdania są heretyckie, lecz twierdził równocześnie, że ich wcale niema w dziele Augustinus. Za to potępił go Aleksander VII, 1656 roku.

Mimo to walka zawzięta zataczała coraz szersze kręgi. Spór, który nieco ucichł, gdy na papiestwo wstąpił Klemens IX, 1667 roku, rozpalił się na nowo z okazyi książki X. Paschazego Quesnela ze Zgromadzenia OO. Oratoryanów. Książka ta nosiła tytuł *Réflexions morales* i wyszła 1693 roku. Tam pokazało się mnóstwo błędów na tle jansenizmu, co do stosunku wolnej woli i łaski. Powstała na nowo walka, która doprowadziła do tego, że Klemens XI potępił w bulli „Unigenitus“ 1746 roku całe mnóstwo błędów Quesnela pomieszczonych w 101 propozycyach. Niektórzy z pośród biskupów i liczni przedstawiciele duchowieństwa świeckiego i zakonnego tak daleko posunęli się w swej zapalczywości, że w r. 1717 założyli apelacyę od tej bulli papieskiej do przyszłego soboru powszechnego. Na to odpowiedział im papież w następnym roku ekskomuniką. Ale odkąd kardynał de Noailles, arcybiskup paryski, stanowczo poddał się wyrokom papieskim w roku 1728, błędy quesneliańskie zaczęły widocznie tracić zwolenników. Lecz ich wpływ długo jeszcze dawał się odczuwać.

Misyonarze nie mogli być obcymi tej tak zawziętej walce błędów z prawdą. Żyli bowiem wśród kleru i nad nim pracowali, więc nic dziwnego, że jego sprawami i uczuciami musieli się też zajmować i przejmować. W jakim stopniu zwalczał św. Wincenty błędy jansenizmu, widzimy z jego życiorysu, np. w Żywocie św. Wincentego, jaki wydał biskup

Bougaud (ks. II. r. 5). Również surowo przestrzegają Misyonarzy przełożeni generalni przed błędami Quesnelianizmu. Tu właśnie mamy objaw tej troskliwości. Gdy się zebrali konfratrzy na konwent generalny w roku 1724, wtedy X. Jan Bonnet, superyor generalny Zgromadzenia, oznajmił zebranym, że nuncyusz apostolski w Paryżu zażądał, aby konwent uchwalił, iż kapłani wybrani na urzędników Zgromadzenia, jako to na asystentów i admonitora X. Generała, powinni podpisać deklaracyę, że się poddają w zupełności rozporządzeniom Stolicy św. odnośnie do potępienia błędów Quesnela; a gdyby podpisu odmówili, mają stracić swój urząd ipso facto. Otóż konwent, chcąc dać dowód swej najzupełniejszej uległości względem Stolicy Apostolskiej, uchwalił, ażeby nietylko wymienione osoby, na urzędach Zgromadzenia całego będące, lecz wszyscy kapłani Zgromadzenia, a specyalnie superyorzy i profesorowie, a także klerycy wyższych święceń i teologowie podpisali specyalną formułę, jaką konwent w tym celu ułożył[1]). Dlatego to X. Walther zażądał podpisu wymienionej bulli od konfratrów stradomskich.

Za rządów X. Zakrzewicza skończył się powszechny jubileusz rzymski, w czasie którego nasi konfratrzy z obu domów krakowskich bardzo dużo pracowali na ambonie i w konfesyonale. X. Zakrzewicz umarł na Stradomiu w r. 1727 na wodną puchlinę. Po jego śmierci wakowało superyorstwo przez 9 miesięcy. Rządził domem X. Bartłomiej Słupczyński, ówczesny asystent.

---

[1]) Declaramus, quod cum profundissima reverentia et perfecta cordis et animi submissione nos subiicimus omnibus Bullis Summorum Pontificum, ab ordine episcopali acceptatis et promulgatis, et quibus favent regia diplomata, contra librum et doctrinam Iansenii editis, et speciatim Bullae s. memoriae Clementis XI, quae incipit „Vineam Domini Sabaoth", et eius Constitutioni „Unigenitus Dei Filius": adeoque reiicimus et condemnamus librum, cui titulus est *Réflexions morales*, et 101 propositiones ab eo extractas, eadem forma et sub iisdem qualificationibus, quibus eas damnavit s. memoriae Clemens XI. in dicta Constitutione. (Cfr. Acta conventuum generalium, str. 134).

Jeszcze za życia słabowitego superyora zastępował go w pracy misyjnej. W czasie jubileuszu w Rzymie obchodzonego w roku 1725 misye wakowały zupełnie. Za to w następnym roku rozporządził książę biskup Szaniawski, żeby jubileusz obchodzono w Krakowie od kwietnia do sierpnia przez pełne cztery miesiące. Pracę duchowną rozdzielono pomiędzy liczne zgromadzenia zakonne w Krakowie. Misyonarzom stradomskim przy rozdziale pracy wyznaczono sąsiedni szpital św. Sebastyana. Widocznie wielkie zajęcie budziły codzienne katechezy i kazania mówione przez naszych, skoro na nich bywało codzień od 5 do 8 tysięcy słuchaczy. Pracą tą kierował, a zarazem największy miał w niej udział, ks. Marcin Turski. Po jubileuszu misye na nowo szły zwykłym trybem, mimo śmierci ks. superyora Zakrzewicza.

Wreszcie 7-go sierpnia 1728 przybył na Stradom ks. Stanisław Siedlecki, dotychczasowy superyor domu lubelskiego. Lecz nie długo tu bawił. Już bowiem 12-go lipca 1729 roku odjechał do Łowicza, aby zastąpić tamtejszego superyora ks. Zygfryda Ring, który przez miesiąc sierpień kończył „Seminaryum“ w Warszawie [1]). Zamiast niego sprawował urząd superyora stradomskiego ks. Stefan Jabłoński, który 25-go września 1829 roku przybył ze Zamku, opuściwszy z woli przełożonych dotychczasowe swoje stanowisko prefekta seminaryum wawelskiego.

Ks. Franciszek Bączkowicz.

[1]) Kronika Stradomska, str. 109.

Z przeszłości obydwóch Zgromadzeń w zaborze rosyjskim.

III.

XX. Misyonarze w Siemiatyczach, Smiłowiczach, Orszy i Oświeju.

In omnem terram exivit sonus eorum...

Siemiatycze.

Siemiatycze w dawnem województwie podlaskiem w ziemi drohickiej, a teraz w gubernii grodzieńskiej i powiecie bielskim. Stosunkowo dość dawna to miejscowość, bo, jak wiadomo, Kazimierz Jagiellończyk nadał ją Olechnie Sudymontowiczowi z Chożowa, wojewodzie następnie wileńskiemu, w drugiej połowie XV wieku, a z wianem córy wojewody, Olechny, przeszła ta posiadłość do Tęczyńskich, na początku XVI wieku sprzedana podskarbiemu Bohuszowi Bohowitynowi, potem przez kądziel znowu do Tęczyńskich się dostaje, później do Radziwiłłów, a Halszka Radziwiłłówna, wychodząc za sławnego Lwa Sapiehę, dnia 20 lipca 1599 roku, wnosi Siemiatycze w dom Sapieżyński i dwa wieki je Sapiehowie posiadają[1]).

Nie znamy pewnej daty, kiedy w Siemiatyczach pierwszy, drewniany, zbudowano kościół i przez kogo; prawdopodo-

---

[1]) Sapiehowie, Monografia, tomów 3, Petersburg, 1890—1894; Boniecki; Mémoires de la Congrégation de la Mission en Pologne, Paris 1864.

bnie około połowy XV wieku stanęła tam pierwsza świątynia; zapewne, Sudymontowicze lub Tęczyńscy do tego się przyczynili. W każdym razie Lew Sapieha zastał tam już ów kościół ku starości pochylony, więc pan ten pobożny i gorliwy katolik pomyślał o wymurowaniu w Siemiatyczach Domu Bożego i rozpoczął taką budowę, lecz jej nie dokończył, bo śmierć zabrała go z tego świata, a syn jego, Kazimierz-Leon, murowanie i urządzenie kościoła zupełne ukończył w 1637 roku, w następnym zaś X. Jan Zamoyski, biskup natenczas bakoneński, konsekracyi dopełnił p. w. Wniebowzięcia NMP. Sapiehowie udotowali tę świątynię, następnie parafialną. Kaźmierz-Leon Sapieha, podskarbi litewski, fundator hojny Kartuzów w Berezie, bezpotomnie umarł w 1656 roku. Zapisał on Siemiatycze swemu krewnemu, Pawłowi-Janowi Sapieże (synowi Jana Piotra, starosty uświackiego, i Zofii Wejherówny), wojewodzie wileńskiemu i hetmanowi, a po jego śmierci w 1665 roku odziedziczył te dobra naprzód syn jego, Leon Bazyli, wychowaniec Sarbiewskiego, fundator Bazylianów różańskich, zmarły w 1686 roku, a potem syn drugi, Benedykt-Paweł, co się rozstał z tym światem w 1707 roku, ale 7 lat pierwej dał Siemiatycze synowi swemu Michałowi-Józefowi, wojewodzie potem podlaskiemu, żonatemu z Teresą Wielopolską. Otóż wojewoda podlaski, przy współudziale X. Michała Kraszowskiego, czy Krasowskiego, kanonika warszawskiego i proboszcza siemiatyckiego, sprowadził XX. Misyonarzy tutaj w 1719 roku, zbudowawszy dla nich klasztor i zaopatrzywszy we wszystko potrzebne. Na mocy tej fundacyi miało tu być 12 księży i tak bywało, dopóki Prusacy nie zabrali majątku misyonarskiego; potem więc liczba tutaj kapłanów zmaleć musiała, ale parafię zawsze utrzymywali.

Michał Sapieha tak sobie upodobał to Zgromadzenie zakonne, że po śmierci jedynego syna, a przedtem żony, udał się do Francyi, aby tam w domu misyonarskim św. Łazarza resztki dni swoich przepędzić, lecz w drodze zachorował i umarł, nie dojechawszy do Paryża, w 1737 r. — Siemiatycze

znowu zmieniły właściciela: bezdzietny wojewoda podlaski przeznaczył je Kazimierzowi Leonowi, synowcowi swemu, generałowi artyleryi (synowi Aleksandra Pawła i Maryi de Betune), ale ten w rok po śmierci wojewody podlaskiego (1738) świat ten pożegnał i córka jego z Karoliny Radziwiłłówny, Anna, stała się panią na Siemiatyczach, wychodząc w roku 1750 za Jana Kajetana Jabłonowskiego, wojewodę potem bracławskiego. Anna Jabłonowska bardzo to znana osobistość: polityka, sprawy społeczne, urządzenie dóbr swoich, polepszenie losu włościan niezmiernie ją zajmowały. Siemiatycze zabudowała, upiększyła, w ślicznym jej tam zamku znajdowały się ogromne, znakomite zbiory, nauk przyrodniczych, archeologii się tyczące, biblioteka też niemała; w tym przybytku muz i elegancyi, gdzie przestrzegano niemal królewskiej etykiety, przyjmowała ona głowy ukoronowane: odwiedzał tam ją w 1777 roku Stanisław August, objeżdżając kraj i godząc się z politycznymi przeciwnikami (do których też wojewodzina bracławska należała w swoim czasie); we trzy lata potem był tam Józef II, jako hrabia de Falkenstein, wracający z Petersburga; we 2 lata po nim — następca tronu rosyjskiego, Paweł, z żoną, Dorotą Wirtemberską, jako hrabia du Nord. Gościł też tu powtórnie Stanisław August w 1793 w grudniu, powracając ze znanego owego sejmu grodzieńskiego, ale to były już bardzo smutne czasy...

Wojewodzina miała drukarnię, t. zw. pokojową, w której drukowała swoje rozporządzenia rządcom dóbr licznych, tabele, księgi gospodarcze etc., możebyśmy nawet o tych drukach nie wiedzieli, bo nie istnieją dziś podobno, gdyby Grell ich w swoim czasie nie przedrukował.

Powołała do życia w majątkach swoich pani wojewodzina dużo bardzo pożytecznych instytucyj, a Bartoszewicz nawet twierdzi, że w Siematyczach i Kocku ufundowała siedziby dla Sióstr Miłosierdzia przy końcu XVIII wieku, ale dalsze losy tych zacnych zakładów nie są nam znane, niestety.

Na początku lutego 1800 roku Jabłonowska świat ten opuściła. Siemiatycze dostają się krewnym jej męża, Jabło-

nowskim, którzy bardzo prędko wyzuli się z tych posiadłości w cudze ręce oddanych. Jakiś generał rosyjski w 1863 roku armatami zniszczył do szczętu zamek siemiatycki, ogołocony już ze wszystkiego (zbiory nabył cesarz Aleksander I. za 50000 dukatów), a teraz niedawno zaczęto w pień wycinać śliczny park i wspaniałe ogrody... Ale wracajmy już do XX. Misyonarzy.

Majątek ziemski domu siemiatyckiego miał przynosić rocznie, zredukowawszy to na monetę rosyjską, 2000 rb., lecz Prusacy zabrali tę posiadłość i wyznaczyli na rok 144 talary. Sapiehowie zbudowali tam też szpital na 6 ubogich z ubikacyami, który znowu posiadał dochodu rocznego 324 rubli. Istniały przy tym kościele dwa bractwa: Trójcy Przenajświętszej i Różańca Świętego, przez Benedykta XIV potwierdzone i uprzywilejowane.

Pomiędzy superyorami siemiatyckimi było niemało ludzi pobożnych, z wiedzą wszechstronną, pracujących gorliwie w Winnicy Pańskiej; niestety, możemy wyliczyć tylko niektórych.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa pierwszym tam przełożonym był X. Józef Łukasz Orzechowski. Urodził się on w Mławie 1685 roku, i wstąpiwszy do Zgromadzenia, w roku 1713, swoimi funduszami dopomógł do fundacyi XX. Misyonarzy w tem mieście; wielkie jego przymioty duszy, żarliwość religijna, zwróciły na niego uwagę starszyzny Zgromadzenia i po niejakim czasie posłano go na superyora do Siemiatycz, gdzie przez lat 8 pracował bardzo pilnie i pożytecznie — co mogło być do roku, mniej więcej 1727 — z nadwerężeniem nawet zdrowia, więc prosił następnie, aby go zwolniono z tego przełożeństwa, czemu zadość uczyniono i wyprawiono go do Łowicza w charakterze asystenta domu i prokuratora; tam też, o ile mógł, był pożyteczny dla Zgromadzenia i społeczeństwa i tam żywot swój bogobojny zakończył w lipcu 1737 roku.

W tych czasach, plus minus, mieszkał w Siemiatyczach, X. Bartłomiej Tylman, rodem z Chełmińskiego, dosko-

nając się w dawaniu misyj, w czem potem nabył wielkiej biegłości; następnie był w Wilnie asystentem domu i przełożonym seminaryum i tam umarł dnia 22 kwietnia 1755 r. przebywszy w Zgromadzeniu lat 18.

Jednym z następców X. Orzechowskiego był X. Łukasz Niewiński, Wołyniak; do Siemiatycz przyjechał, zdaje się, około roku 1738, będąc przedtem lat kilkanaście prokuratorem w Krakowie, a także i w Lublinie czas jakiś pracował; odznaczał się wielkim darem modlitwy i słynnym był w swoim czasie teologiem. W Siemiatyczach jakich lat dziesięć superyorował; urządził tam wzorowo gospodarstwo, wiele dobrego zrobił, wreszcie wyprosił się od tego stanowiska, straciwszy niemal zupełnie zdrowie na posługach wiernym. W lipcu 1772 roku Bogu oddał ducha.

X. Jakób Lilienthal, rodem z Warmii, ceniony bardzo przez X. wizytatora Śliwickiego, przysłany na przełożonego do Siemiatycz, chyba w parę lat jakich po X. Niewińskim; w wielkiem był poważaniu u wojewodziny Jabłonowskiej, której był spowiednikiem. Potem powołano go na superyora do Zasławia, gdzie ciężko zaniemógł. Wtedy to Sapieżyna zaniosła prośbę gorącą do Wizytatora, aby go znowu do Siemiatycz przeniósł, żeby tam można było go otoczyć większą pieczołowitością i doglądaniem w chorobie; stało się zadość jej życzeniu; tak przed rokiem 1770 zjechał on znowu do Siemiatycz (ale już nie w charakterze superyora) i tam lat prawie dziesięć ciężko chorował, znosząc to wszystko nader cierpliwie; dnia 2 czerwca 1780 roku powołał go Bóg do swojej chwały.

X. Błażej Sikorski, ukończył swoje urzędowanie w domu siemiatyckim w roku 1770, może nieco później. Prawie całą Polskę zwiedził, wędrując z misyami; odznaczał się wymową wielką; umarł w Warszawie na wiosnę, 1772 r. Pochodził z Gnieźnieńskiego.

Sławny następnie uczony i pierwszy wizytator prowincyi litewskiej, X. Jędrzej Pohl, też przebywał w Siemiatyczach lat sześć (od roku, mniej więcej, 1767), większą też część czasu

trawiąc na misyach i nauczaniu parafian; kazania jego, wówczas wygłoszone, wyszły z druku w Warszawie 1815 roku [1]) pod tytułem: Kazania Misyjne.

Więcej tu przełożonych w XVIII wieku nie znamy i nie wiemy, kto był superyorem w 1793 roku, gdy dnia 4. grudnia Stanisław August słuchał mszy u Misyonarzy, a potem zwiedzał kościół i oglądał obrazy Czechowicza, NMP. i św. Wincentego a Paulo (Starożytna Polska).

Na początku XIX. stulecia na czele Domu stał X. Andrzej Cykanowski; zastajemy tam go jeszcze w 1808 roku, a z nim razem X. Walentego Zacharyaszewicza, X. Jana Limowskiego, X. Jana Chynowskiego i Jerzego Wyborskiego [2]). W roku 1824 X. Cykanowski był w Białymstoku i zaznaczono mu lat 71, a kapłańsłwa 46 [3]), potem już się z nim nie spotykamy, zapewne musiał umrzeć; jak długo po roku 1808 mieszkał jeszcze w Siemiatyczach, tego też nie wiemy; lecz około roku 1819 jest na tem stanowisku X. Jan Niegardowski, będący tam do roku 1825, jak ze wszystkiego wnioskować jesteśmy upoważnieni. Po nim — X. Zarzecki (czy Dominik — nie wiemy), a z nim tam razem pracował X. Piotr Kalinowski, który następnie w 1836 roku piastował urząd konsultora domu w Wilnie i przy tej okazyi [4])

---

[1]) X. Jędrzej Pohl należał do tej plejady uczonych Misyonarzy litewskich, do których zaliczyć trzeba: X. Tomasza Husarzewskiego 1732—1807, głośnego w swoim czasie profesora uniwersytetu wileńskiego, nauczyciela Lelewela; wykłady Husarzewskiego historyi powszechnej nazywa dr. Bieliński (historyograf uniwersytetu wileńskiego) znakomitymi na owe czasy; też X. Guilelma Kalińskiego, 1747—1789, porywającego kaznodzieję, również profesora teologii i historyi kościelnej przy uniwersytecie wileńskim, gruntownie znającego swój przedmiot, jakoteż i filozofię; X. Michała Karpowicza także tu wspomnieć należy, ale byli jeszcze inni, co wsławili u nas zacne Zgromadzenie misyonarskie.

[2]) Cathalogus personarum et officiorum Cong. Mis. in imperio Rossico in anno 1808 conscriptum; bez miejsca druku.

[3]) Directorium archidyec. mohylowskiej; z tego źródła i inne wiadomości o Misyonarzach.

[4]) Cathalogus personarum Con. Mis. in imperio Rossiaco existentium in Annum Dni 1837 editus; bez miejsca druku.

dano mu lat 73, wokacyi 55. Ostatnim przełożonym, już w 1830 roku, X. Kajetan Milewski; przy nim w ostatnich latach mieszkali też w Siemiatyczach: X. Tomasz Mioduszewski, X. Józef Kulikowski, X. Maciej Kolenda, który jako t. z. operarius, umarł tam w 1832 roku. Przed tym rokiem zastajemy w Siemiatyczach, chociaż nie wiemy dobrze w jakim charakterze, X. Jana Mierzwińskiego, będącego w 1836 roku asystentem domu w Białymstoku, mając lat 38, a powołania 14.

W jesieni 1832 roku nastąpiła ogromna kasata w Rosyi mnóstwa klasztorów; wtedy też zniesiono Dom siemiatycki, może przy końcu owego roku.

Oprócz duszpasterstwa zajmowali się Misyonarze siemiatyccy utrzymywaniem szkoły parafialnej. Czy jeszcze w XVIII wieku nauczali — nie wiemy, ale od początku XIX stulecia pracowali w tym kierunku, dopóki możność mieli. Tak n. p.[1]) w 1820 roku dozorcą tej szkółki i razem nauczycielem był X. Wąsowicz, nadto jeszcze 2 nauczycieli świeckich; zastajemy tam wówczas klasę przygotowawczą i dwie inne, w których wykładano takie przedmtoty, jak w I i II klasie szkół powiatowych. We wstępnej w trzech oddziałach uczniów 30, a 47 w 2 wyższych klasach = 77. Wizytator w tym roku (A. J. Lewicki) bardzo chwalił ten zakład i działalność Misyonarzy. W roku 1822 było dwóch nauczycieli i z górą 30 uczniów; w 1825/6 — mniej znacznie, bo nie miano czasowo wstępnej klasy. Szkoła ta znajdowała się w domu Zgromadzenia.

Po skasowaniu klasztoru kościół w Siemiatyczach został i do tego czasu istnieje. Z początku był on w dyecezyi łuckiej, obejmującej województwo wołyńskie, bracławskie, brzesko-litewskie i podlaskie; po trzecim kraju rozbiorze Prusy postarały się o utworzenie biskupstwa wigierskiego[2]),

---

[1]) Wiadomości o szkołach zaczerpnięte z Muzeum Czartoryskich.

[2]) Nazwa biskupstwa pochodzi od wsi Wigry, położonej na półwyspie wsuniętym w jezioro tej nazwy w pow. dawnym kowieńskim. Jan Kazimierz ufundował tam Kamedułów, których rząd pruski skasował i kościół na

do którego wszedł z Siemiatyczami dekanat drohicki; tak było do roku 1807; potem uformowano archidyakonat białostocki (z dekanatem drohickim), przyłączony do archidyecezyi mohylowskiej i do roku 1850 tam zostawał, a od tego czasu cała już gubernia grodzieńska weszła w skład biskupstwa wileńskiego. W roku 1860 w Siemiatyczach, już w dekanacie bielskim, wiernych 2325[1]); w 4 lata później — 2464; w 1870 r. — 2794; 1890 r. — 3509; w 1904 r. — 4469; w 1911 — dusz 5122.

Smiłowicze.

W dawnem województwie i powiecie mińskim, teraz w gubernii mińskiej i powiecie ihumeńskim znane miasteczko, należące niegdyś do Ogińskich, Zawiszów, potem znowu do Ogińskich, a w nowszych czasach do Moniuszków i Wańkowiczów.

Krzysztof Kieżgajło Zawisza h. Łabędź odmienny, urodzony z Aleksandry Konstancyi Ogińskiej, wojewoda miński, żonaty z Teresą Różą Tyszkiewiczówną, autor znanych pamiętników, zostawił syna Ignacego Aniceta, marszałka nadwornego litewskiego, pana na Baksztach, Zawiszynie, Berdyczowie etc., który poślubił Marcybelę Magdalenę Ogińską, wojewodziankę wileńską i umarł bezpotomnie w roku 1738, żona zaś jego, posiadająca na własnosć Smiłowicze, ufundowała tam XX. Misyonarzy, co X. Ludwik Debras[2]), przełożony generalny, aprobował dnia 22 marca 1747 roku. Żyła ona jeszcze długo i dopiero w grudniu 1760 roku świat ten pożegnała, zapisawszy Smiłowicze swemu siostrzeńcowi rodzonemu, Michałowi Kazimierzowi Ogińskiemu, niefortunnemu hetmanowi, ale żarliwie uprawiającemu muzykę.

Zawiszyna wybudowała wspaniały kościół, zaraz potem parafialny, dom obszerny przy nim i dała Misyonarzom do-

---

katedrę przeznaczył. Pierwszym tam biskupem został Michał Karpowicz ze Zgromadzenia Misyonarzy, słynny kaznodzieja i dzielny pasterz.

[1]) Directoria z tych lat.

[2]) Mémoires ut supra.

statnie uposażenie — dobra Wołnę, w powiecie teraz ihumeńskim, o jakie dwie mile od Ihumenia; miało tam być w pierwszej ćwierci XIX stulecia kilkuset poddanych (380?) i ziemi jakoby włók 35. Pracę więc, mając byt zapewniony, zaczęli XX. Misyonarze rychło i ochoczo, działając wytrwale w Winnicy Pańskiej.

Pierwszym przełożonym był tam X. Jan Melwiński, który jednak niedługo tam zostawał, a przy nim spotykamy w Smiłowiczach X. Andrzeja Falcewicza, przysłanego tutaj prędko po wyświęceniu, aby misye odbywał w dobrach rozległych Zawiszyny; podziwiano w nim pokorę i gorliwe zawsze wypełnianie obserwy; zabrano go stąd do Wilna, gdzie 29 lipca 1755 roku przeniósł się do wieczności, mając tylko lat 45, a z tego w Zgromadzeniu 12.

Po X. Melwińskim zaraz miał superyorat objąć X. Piotr Gorgiusz, rodem z dyecezyi chełmińskiej, lecz na Litwie ustawicznie pracujący, który miał 12 lat zarządzać Domem smiłowickim do roku 1767, circa proter; w następnym umarł, gdy mu liczono lat wieku 75, a powołania 54.

Około roku 1808 [1]) superyorował tutaj X. Michał Grodzki [2]), X. Mateusz Makowski spełniał obowiązki parafialne, X. Krzysztof Dmochowski był asystentem Domu, X. Tomasz Jedzewicz (czy Jędzewicz) prefektem kościoła, X. Wawrzyniec Piewcewicz mieszkał w charakterze emeryta, XX. Tomasz Syrtowtt i Antoni Nowicki występują jako profesorowie, a X. Wojciech Baraniecki bez żadnego osobnego zajęcia.

W owym czasie były też tam studya dla kleryków, katalog z tego roku wymienia ich pięciu: Michała Narbutta, Antoniego Sienkiewicza, Jana Markiewicza, Ignacego Downarowicza i Jerzego Dygowicza.

---

[1]) Cathalogus ut supra.

[2]) Znany zaszczytnie jako historyk Mińszczyzny, Aleksander Jelski na Zamościu, utrzymuje, że ów X. Michał Grodzki założył tam konwikt.

O X. M. Grodzkim mamy wiadomość [1]), że już w roku 1806 był superyorem tutaj, a zarazem dziekanem ihumeńskim; na tych stanowiskach zastajemy go w roku 1809 do 1813; w roku 1817 występuje jako przełożony smiłowicki i razem też dziekan ihumeński, X. Stanisław Rudnicki (mający w roku 1836 lat 84, a powołania 64); on też tam jeszcze w r. 1823, a od roku 1827 X. Michał Szeliski (piszą go też i Szelicki), który był ostatnim przedstawicielem Domu smiłowickiego; w roku 1836 liczono mu lat 75, a powołania 54; nauki świeckie odbywał w Sandomierzu; do Zgromadzenia wstąpił w Wilnie. W roku 1832 skasowano Misyonarzy w Smiłowiczach, ale kościół, jako parafialny, zostawiono [2]) jeszcze.

I smiłowiccy Misyonarze pracowali też na polu pedagogicznem, utrzymując szkółkę parafialną, zwiedzaną przez wizytatorów uniwersytetu wileńskiego. Tak n. p. Józef Twardowski, objeżdżający zakłady naukowe w gubernii mińskiej w 1819 roku, tak się o tej wyrażał szkółce [3]): „Szkoła ta parafialna utrzymuje się bez żadnego na to funduszu z dobrej tylko chęci Zgromadzenia Misyonarzy; Zgromadzenie to, najwyższym dobra powszechnego ożywione duchem, nie przestaje na utrzymaniu szkółki parafialnej i opatrzeniu jej zawsze w jedną osobę ze swego grona dostatecznie w tym celu usposobioną, ale nawet na koszcie własnym bez funduszu utrzymuje ciągle kilku ubogich sierót, opatrując ich we wszystkie potrzeby... Upewniłem się, że w szkole tej, mie-

---

[1]) Kalendarzyki wileńskie z tych lat.

[2]) Jędrzej Pohl, będąc wizytatorem litewskim, około roku 1814 zaprowadził w Smiłowiczach małe seminaryum, lecz dalsze losy jego, niestety, nie są nam znane. Staraniem też tego wizytatora posłano Siostry Miłosierdzia i Misyonarzy do Pawłowska, pod Petersburgiem, gdzie był zakład głuchoniemych; działał tam X. Anzelm Zygmontt, misyonarz; po śmierci Pawła I, Siostry Miłosierdzia wydalono stamtąd, a X. Zygmontt miał uczyć łaciny i języka francuskiego wielkich książąt, Konstantego i Mikołaja; podobno wywierał on pewien wpływ na cesarzową Pawłową.

[3]) Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce, tom X, Kraków 1904, p. 392, 393.

szczącej prawie zawsze w miesiące zimowe około 30 uczniów, uwalniających się na miesiące letnie do domu rodziców do pomocy w gospodarstwie, trwa nauka w miesiącach zimowych po godzin 2 rano i 2 po południu codziennie, zaczynając od października do kwietnia; reszta czasu jest od nauki wolna dla przyczyn wyżej wskazanych i wtedy tylko dawana ona bywa sierotom, przez Zgromadzenie utrzymywanym... Nauka w tej szkółce prócz nauki chrześcijańskiej, obszernie wykładanej, obejmuje jeszcze początek historyi św., naukę moralną, czytanie i pisanie tak polskie jak i rosyjskie, początki gramatyki, geografii, oraz arytmetyki w czterech pierwszych działaniach z liczbami całemi. Uczniowie wszyscy obowiązani są do codziennego Mszy św. słuchania, co też odbywają regularnie. Z tej okazyi, równie jak z powodu poleconego teraz od uniwersytetu i kuratora czytania Pisma św. (Nowego Testamentu), nauki, niegdyś o 8 rozpoczynające się, a o 10 skończone, zamyśla nauczyciel szkoły (kleryk Zgromadzenia, Wincenty Borkowski) ciągnąć do jedenastej... Z tego raportu Uniwersytet raczy nabrać przekonania, iż Zgromadzenie XX. Misyonarzy dobrowolnie i bez funduszu szkołę utrzymuje w należytym i przykładnym stanie, że oprócz tego to Zgromadzenie utrzymuje ubogich i w potrzeby wszelkie opatruje, przez co, zasłużywszy się dobru ludzkości i powszechnej instrukcyi, zasługuje na podziękowanie od Uniwersytetu, o które najusilniej ośmielam się upraszać. Podziękowanie to tem zbawienniejsze zrobi skutki, jeśli będzie publicznie ogłoszone, zwłaszcza, że inne szkółki powiatu ihumeńskiego po części ustały i żadnej nie doznają opieki" [1]).

Czy w XVIII. wieku istniała tam szkółka — nie wiemy. W roku 1805 [2]) uczyło się tam chłopców 18, mających osobnego nauczyciela; 1807 — tylko 10; (zapewne było tak

---

[1]) Wizytator zaznacza, że w tym czasie, t. j. w 1819 roku, w powiecie ihumeńskim w Uzdzie było uczniów 8, w Bożynie, z funduszu X. Aksynkiewicza, plebana 10, w Berezweczu 11, w Smiłowiczach 21=50. W całej zaś gubernii uczyło się w szkółkach parafialnych około 500.

[2]) Muzeum Czartoryskich.

w letnich miesiącach); w 1808 — 35 uczniów; w 1808 — 35 uczniów; w 1813 — 21 uczniów; w 1822 — 23; w 1825 — 20 uczniów. W następnych latach nie posiadamy o tej szkółce szczegółów, ale trwała tam do roku 1832.

Bardzo pożyteczna była owa szkółka, w której porządnie uczono i nadawano należyty kierunek wychowaniu pierwotnemu; z niej też wychodzili ludzie niekiedy, co potem nawet na szerokim zasłynęli horyzoncie; do takich bezsprzecznie należy Jan Józef Baranowski, który się urodził w Smiłowiczach 1805 roku i tam się naprzód uczył, a potem w innych wykształcał się szkołach; przed rokiem 1830 został podsekretarzem w Warszawie Banku Polskiego, po roku 1832 emigrował do Francyi; później jako sekretarz towarzystwa literackiego mieszkał w Londynie i zasłynął nietylko jako literat i filolog, ale głębokich poglądów matematyk; jego kombinacye finansowe pomogły łacniej wypłacić Francyi owe miliardy Prusakom [1]).

XX. Misyonarze chętnie też garnęli do siebie ubogie dzieci, uczyli je, odziewali, nawet czasem na księży promowali takich swoich wychowańców, ale w takich razach niezawsze trafny robili wybór i byli szczęśliwi [2]).

Po usunięciu XX. Misyonarzy świeckie duchowieństwo

---

[1]) W swoim czasie, 1886 roku, pisał o tem Kuryer Poznański, a za nim Wiek Warszawski, a następnie jest o tem wiadomość w znanem dziele p. t. Kartka z dziejów Kościoła katolickiego w Rosyi, tom I. Biskup. mińskie, Kraków 1889.

[2]) Mamy tu na myśli niecnej pamięci Edwarda Tupalskiego, który mając lat 19, w 1837 roku znajdował się pomiędzy klerykami studentami misyonarskimi, a potem był jednym z gnębicieli dyecezyi wileńskiej. O parę lat młodszy od niego niegodny Piotr Żyliński, z litości trochę poduczony przez Misyonarzy, błagał ich, aby go przyjęli do Zgromadzenia swego; gdy został prokuratorem przy wizytatorze ostatnim, zacnym X. Bohdanowiczu, po zgaśnięciu Zgromadzenia, wykierował się na łotra skończonego. Ze wstrętem odwracamy się od takich postaci. Bliższe o tem szczegóły są, pomiędzy innemi, w pracy X. Prałata wileńskiego, Aleksandra Ważyńskiego p. t. Litwa pod względem prześladowania w niej Kościoła, Poznań 1872.

zarządzało parafią smiłowicką, a czasem zakonnicy; tak np. około roku 1860 dziekan ihumeński, O. Leonard Moroz, z Zakonu Św. Franciszka, był administratorem tego kościoła [1]. W pięć lat potem zastajemy tam, też dziekana ihumeńskiego, X. Karola Gudwiłowicza, mającego wtedy lat 35, a kapłaństwa 12. Był tam administratorem jeszcze dwa lata później, miał wikarego X. Jana Buterlewicza, 3.560 parafian i 3 kaplice: w Dworcu, Ubielu i na cmentarzu smiłowickim. Następnie kościół ten zabrano, a parafię skasowano w 1867 roku [2].

Ihumeń.

Za dawnych wieków — posiadłość biskupów wileńskich; po drugim kraju rozbiorze dobra te skonfiskowano i następnie miasto powiatowe gubernii tam utworzono. Kościoła tam nie było; dopiero ze składek stanął on w 1799 roku i oddano go Misyonarzom smiłowickim w zarząd, a tym sposobem mieli tu oni swoją niby rezydencyę; przy niej w 1808 roku zastajemy X. Józefa Usarzewskiego ze Zgromadzenia misyonarskiego, które do roku 1832 spełniało tu obowiązki parafialne; potem — księża świeccy. W roku 1866 był tu kuratem X. Dominik Ławcewicz, mający parafian 1188; liczba ich po skasowaniu kościoła w Smiłowiczach znacznie się powiększyła; teraz (w 1911 roku) należy do tej parafii 4.000 wiernych i kaplica na cmentarzu w Smiłowiczach i Ubielu.

Orsza.

W dawnem województwie witebskiem, miasto niegdyś powiatowe, a teraz powiatowe w gubernii mohylowskiej, znane dobrze z naszej przeszłości dziejowej, gdzie nieraz wybitne zajmowało stanowisko.

---

[1]) Na podstawie Directoriów dyecezyi mińskiej.

[2]) Wyżej cytowana praca o biskupstwie mińskiem, p. 144, nie zupełnie dokładnie nazywa ostatnim proboszczem śmiłowieckim Franciszkanina Moroza, który był potem zesłany w głąb Rosyi i tam Bogu ducha oddał.

Siedziba tutaj misyonarska niedługo trwała i mamy o niej bardzo mało szczegółów [1]). Jan Turski [2]), koniuszy orszański, z żoną swoją Maryanną Franciszką z Andruszkiewiczów, miał ją powołać do życia dnia 12 sierpnia 1752 r., uczyniwszy dla tej fundacyi zapisy, zabezpieczając pewne sumy na dobrach: Selekcie [3]), Kopciach [4]) i Białozorach [5]) i obiecując, że w ciągu trzech lat powinien w Orszy zbudować kościół dla Zgromadzenia; czy to doprowadził do skutku — nie wiemy; ale są jeszcze wzmianki o tej siedzibie w roku 1755, na początku następnego zaznacza ją w swoim cyrkularzu X. Debras, przełożony generalny, nadto znajdują się ślady istnienia tam Misyonarzy w 1794 roku, gdy tam superyorował X. Wincenty Świerkowski; potem już nic o nich nie słychać; można więc sądzić, że ta fundacya upadła. Pani Turska, jakoby, umarła w 1780 roku.

Oświej.

Niegdyś w województwie połockiem, obecnie miasteczko w gubernii witebskiej w powiecie drysieńskim. Miejscowość ta jest już znana [6]) na początku samym XVI stulecia, jako posiadłość Chlebowiczów; potem na krótko dostaje się Iwaszce Sopieżycowi, następnie przechodzi do Kiszków, a na

---

[1]) Wyżej cytowane Mémoires wzmiankują o tem, lecz bardzo pobieżnie, przekręciwszy niezmiernie nazwisko fundatorów, bo też drukowano to w Paryżu i układał X. Misyonarz Perboyre, nie umiejący zapewne po polsku; a także znajdujemy o tem więcej trochę wiadomości w Encyklopedyi kościelnej większej.

[2]) Turskich Dołęgów znają heraldycy w Mścisławskiem, a Niesiecki wymienia Józefa Turskiego, podstolego mścisławskiego.

[3]) Selekta — teraz folwark w powiecie orszańskim; przy końcu XIX wieku własność Wasilewskich.

[4]) Kopcie — wieś w powiecie orszańskim w gminie tuchińskiej; przed rokiem 1875 należała do Brzozowskich.

[5]) Białozory też w powiecie orszańskim, a są tam również Białozierzyszki.

[6]) Słownik geograficzny; Sapiehowie, monografia; Złota księga szlachty polskiej Zychlińskiego, tom XXIX.

początku XVII wieku kupuje to sławny następnie Lew Sapieha i prawie do pierwszej połowy XVIII stulecia jest w ręku Sapiehów; jednakże już w 1735 roku prawem zastawu nabywa Oświej Jan August Hylzen, starosta natenczas maryenhauski, który w roku 1749 dnia 14 maja kupuje te dobra na własność.

Hülsenowie, potem Hylzenowie, herbu własnego, ród to inflancki, ale jedna jego linia stała się z czasem zupełnie polską, a niektórzy członkowie z niej zasiedli w senacie i przylgnęli całem sercem do swojej nowej ojczyzny.

Jerzy Konstanty Hylzen, szambelan Augusta II, starosta maryenhauski, zostawił dwóch synów i trzy córki: Jerzego Mikołaja, biskupa smoleńskiego, zmarłego w 1742 roku i Jana Augusta, wyżej wspomnianego, kasztelana inflanckiego, autora znanego dzieła p. t. Inflanty, potem wojewodę mińskiego i mścisławskiego; — Matyldę w zakonie Św. Benedykta, Jadwigę Karolinę Szadurską i Eleonorę Pereświtową Sołtanową. Jan August ożenił się powtórnie, z Konstancyą Platerówną, wojewodzianką inflancką; świat ten opuścił na początku 1767 roku, a żona jego umarła dopiero w roku 1792. Ich dzieci: Józef, też wojewoda miński i mścisławski, pan na Oświeju, nie zostawił potomstwa, rozwiódłszy się z Teresą Potocką, wojewodzianką wołyńską, umarł w 1786 roku; Justynian, generał w. p., poślubił Katarzynę Działyńską, wojewodziankę kaliską — miał syna Idziego, którego ożenili z Maryanną Brzostowską, kasztelanką połocką, lecz ten, idyota prawie, zeszedł z tego świata bezpotomnie[1]), i Rozalia za Pawłem Michałem Mostowskim, wojewodą mazowieckim.

Nigdzie niema dokładnej daty powstania pierwszej świątyni w Oświeju. Konstancya Hylzenowa, sprowadzając Siostry Miłosierdzia, bez kwestyi postarała się o kaplicę dla nich i ta osobna dla zakonnic wspominana jest w dawnych kalenda-

---

[1]) Zaznaczyliśmy obszerniej tę Hylzenów genealogią, bo nam to później przydać się może, gdy będziemy mówili o fundacyi tam Misyonarzy.

rzach kościelnych. Po datę założenia kościoła sięgnęliśmy do schematyzmów dyecezalnych; z początku tego nie zaznaczano wcale i dopiero po raz pierwszy w „Ordo divini officii et missarum pro Archidioecesi Mohyloviensi in annum 1866", drukowane w Petersburgu 1865, znajdujemy o Oświeju taki ustęp nieudolnie wystylizowany: „Eccl. mur. exstr. 1782 sump. comitum Augusti et Constantiae Plater nata Hylzen". Raczej należałoby tak to wyrazić:... Comitum, Augusti et Constantiae, natae de domo Plater, Hylzenorum. Późniejsze directoria, już po rosyjsku wydawane, przetłomaczyły to w ten sposób, że fundatorami czynią Augusta Platera z żoną Konstancyą z Hylzenów (taka wersya dostała się też do Słownika geograficznego), tymczasem takiego Platera, żonatego z Hylzenówną nigdy nie było! Naturalnie jest tu mowa o Janie Auguście Hylzenie, już nam znanym, żonatym z Konstancyą Platerówną; ale znowu data (1782) wydaje się nam wątpliwa, bo wtedy ów Hylzen już nie żył; chociaż, naturalnie, mógł przed śmiercią fundusze na to zostawić, a żona jego, która długo jeszcze na świecie była, uczyniła zadość woli męża; jednak w owym czasie panem na Oświeju zastajemy już Józefa Hylzena (syna Jana Augusta) zmarłego, jakeśmy mówili, w 1786 roku i taką datę podają owe Mémoires, kiedy tu zawitać mieli Misyonarze, co ostatecznie rzecz prawdopodobna zupełnie. Encyklopedya zaś kościelna X. Nowodworskiego czyni o tem relacyę taką: już Jan Aug. Hylzen, brat jego Biskup i żona Konstancya chcieli sprowadzić do Oświeja Misyonarzy, ale to nie przyszło do skutku, bo pomarli (o Hylzenowej tego nie można powiedzieć, bo jeszcze długo żyła), dopiero Idzi Hylzen w 1788 roku z żoną swoją Maryanną Brzostowską doprowadził tę fundacyę do skutku i w roku 1798 (?) zapisał Misyonarzom oświejskim 33.400 rubli.

Tu także nasuwają się poważne wątpliwości: Józef Hylzen, robiąc testament w roku 1786, Oświej przeznaczył komu innemu; Idzie posiadał inne dobra i zapewne wówczas zdradzał już swój idyotyzm, gdy sukcesorem Józefa nie

został; pewnych dat z jego życia nie mamy wprawdzie, ale zdaje się, że w 1798 roku już nie żył, lecz jego żona, która potem wyszła za Ludwika Platera, kasztelana w Kongresówce, mogła, naturalnie, ową sumę Misyonarzom darować.

Z tego wszystkiego taki wniosek prawdopodobny wyprowadzić można: fundatorami byli Hylzenowie, zapewne ten i ów; Misyonarze sprowadzeni do Oświeja około roku 1786, a kościół tam mógł powstać już trochę wcześniej z funduszów na to przeznaczonych, pomiędzy innymi, przez Jana Augusta Hylzena.

Superyorów oświejskich w XVIII stuleciu — nie znamy. Z początkiem XIX wieku zastajemy tam na tem stanowisku X. Błażeja Fabinowicza, z którym się tu jeszcze spotkamy; 1808 roku[1]) mieszkali tu jeszcze (oprócz X. Fabinowicza): X. Józef Jaroński, asystent, X. Ludwik Bartoszewicz, prokurator, X. Józef Łęktowicz i X. Jan Grodzki, spełniali obowiązki parafialne, nakoniec X. Kazimierz Zmieczorowski, który około roku 1820[2]) piastował urząd przełożonego i jeszcze w 1825 roku spełniał go, gdy mu liczono lat 48, a kapłaństwa 25; w roku zaś 1830 był już tutaj superyorem X. Szymon Głowacki, mający wtedy lat 37, kapłaństwa 12, a razem z nim pracowali w tym czasie: X. Piotr Bogumił, X. Piotr Żytkiewicz, będący w 13 roku kapłaństwa, a 37 wieku, i X. Jan Tołścik, prefekt kościoła. W roku 1832 zastajemy na superyoracie jeszcze X. Szymona Głowackiego, a przy nim czterech księży: Jan Januszkiewicz, Donat Iwaszkiewicz, Marcin Taborowski i Antoni Korniłowicz, o którym jeszcze będzie mowa. W roku następnym zmian jeszcze niema. Przełożonym od roku 1835 (a może i wcześniej) X. Marcin Taborowski, ur. c. 1787 r., do Zgromadzenia wstąpił około 1817, na kapłana wyświęcony w 1825; księży innych zwykle bywało w tych czasach od czterech do pięciu. Od roku 1839—1842 stał na czele

---

[1]) Cfr. Cathalogus ut supra.

[2]) Wiadomości o tych Misyonarzach ze współczesnych Directoriów.

Domu X. Gabryel Lewkowicz — przyszedł na świat około 1797 roku, do Zgromadzenia przyjęty 1816, wyświęcony w 1824 roku; księży wszystkich w 1839 roku było 8, w 1840 — 7, w 1841 — tyleż, w następnym 5: przełożony X. Lewkowicz, X. Dawid Brazulewicz, lat c. 38, kapłaństwa 10, X. Józef Kulesza, lat 52, od wyświęcenia 25, X. Antoni Osmółko, 68, 39, i X. Szawlewicz Justyn, 49, 26 [1]) i jakich dwóch koadjutorów.

W roku 1842 klasztor w Oświeju skasowano i w zaborze rosyjskim Zgromadzenie XX. Misyonarzy zniszczono zupełnie, lecz X. Lewkowicz jeszcze tam lat kilka spełniał obowiązki parafialne, potem był kapelanem miejscowych Sióstr Miłosierdzia i żył jeszcze w 1867 roku. Ale i po kasacie bywali Misyonarze dawni pracownikami w Winnicy Pańskiej w Oświeju; tak n. p. w roku 1854 zastajemy tam prepozytem X. Piotra Rollewicza, Congr. Mis., któremu zaznaczono wtedy lat 57, kapłaństwa 30, a piąty rok piastował godność dziekana siebiesko-drysieńskiego; X. Lewkowicz był natenczas wikarym w Oświeju; parafian liczono 4 636; w r. 1860 w charakterze administratora kościoła parafialnego oświejskiego, też był Misyonarz, X. Tomasz Siuciłło (piszą go też Suciło i nawet Szuciło), zmarły tam tegoż roku, dnia 28 czerwca, mając lat 45, a wokacyi 23. Teraz (w 1911 r.) parafia oświejska ma wiernych 4.096 i jednego kapłana; kościół p. w. Przenajświętszej Trójcy.

Są wiadomości, że XX. Misyonarze nauczali tu już od roku 1786 [2]), ale dzieje tej szkoły w XVIII wieku nieznane nam wcale, dopiero od roku 1802 [3]) mamy o tem bliższe szczegóły. Superyor ówczesny, X. B. Fabinowicz gorliwie dbał o te szkoły i dobre w nich nauczanie; składały się one na-

---

[1]) Szawlewicz Antoni, zdaje się, inna osoba, też Misyonarz. Lata w directoryach, przekonaliśmy się, niezawsze są ścisłe.

[2]) Periodiczeskoje soczinienie o uspiechach narodnago proswieszczenia, Nr. 21, Petersburg 1808, p. 430.

[3]) Materjały dla istorii proswieszczenia w Rosii, Petersburg, 1893 do 1898, tom I i III. Materyały o szkołach z Muzeum Czartoryskich.

tenczas i później z dwu klas i bywało zwykle dwóch nauczycieli; jeden Misyonarz, drugi świecki, któremu płacono rocznie rubli 50 i dawano utrzymanie; uczono czytać, pisać po polsku, po rosyjsku, katechizmu, nieco z geografii i arytmetyki, czasami dodawano do tego początki łaciny. W roku 1802 w pierwszej klasie było uczniów 25, w drugiej 8, wiek ich od lat 8 do 18; w roku 1806 uczyło się chłopców 35 i bardzo chwalono działalność pedagogiczną X. superyora Fabinowicza.

W rok potem wizytator, Ludwik Plater (syn Kazimierza) zaznacza też uznanie dla przełożonego, chwali postępy uczniów i gorliwość nauczycieli; w tym czasie uczyło się tu chłopców 51, z tych 29 na koszcie Szadurskiego [1]) pod opieką osobnego dozorcy; w roku 1808 uczniów 52, w następnym 64; potem znowu w 1820 roku — 48; w 1823 — 40; z funduszu Szadurskiego 29; prefektem był wtedy X. Jan Tołścik i 2 świeckich nauczycieli; z arytmetyki i łaciny znacznie więcej uczono, wykładano też t. zw. naukę moralną.

W roku 1825 były w Oświeju trzy klasy, uczniów 30[2]), wykładano wszystko po polsku; w r. 1832 te szkoły w dobrym znajdowały się stanie; prefektem był X. Antoni Korniłowicz, znany przyjaciel Karpińskiego i autor dzieł rozmaitych; wydał: O życiu i pismach Franciszka Karpińskiego, Wilno 1829; Wiadomości o Jakóbie Falkowskim, Dominikaninie, w Tygodniku Petersburskim 1837 roku; Biografię X. Gabryela

---

[1]) Wspominaliśmy wyżej, że Jan Franciszek Szadurski, podstoli inflancki, ożenił się z Karoliną Hylzenówną, siostrą rodzoną Jana Augusta i Jerzego Mikołaja, biskupa smoleńskiego; gdy linia polska Hylzenów wygasła, to jej dobra, Oświej też, przeszły na kądziel — na Szadurskich i z tych Jan, syn podstolego, żonaty z Dorotą Szczytówną, zostawił dużo dzieci — jeden z jego synów, Józef, szambelan Stanisława Augusta, potem marszałek szlachty w gubernii witebskiej, został panem na Oświeju, a zapisu Józefa Hylzena, powinien był znaczne sumy wydawać na wychowanie ubogiej młodzieży, więc i w Oświeju był na to fundusz.

[2]) Rewizya Wydziału naukowego białoruskiego przez (smutnej pamięci) J. Sękowskiego w 1826 roku, wydrukowana w Zurnale narod. proświeszczenia 1872.

Boduena, Misyonarza, tamże wydrukowana. X. Korniłowicz był też znanym bibliomanem, zostawił znaczną bibliotekę, w której rozmaite były rzadkości; umarł na Ukrainie w Ilińcach w 1856 roku [1]).

Szkoły oświejskie zamknięto w 1837 roku [2]).

Zamosze.

Niedaleko od Oświeja. Kościół fundowany przez Hylzenów; datę directoria rozmaicie podają: pomiędzy rokiem 1770—1780. Była to rezydencya Misyonarzy oświejskich do roku 1842 przez nich administrowana. Zwykle mieszkało tam 2—3 księży, opiekujących się parafią; podobno dopiero w r. 1799 osiedli tu Misyonarze. W roku 1808 było ich 2: X. Franciszek Ossowski i X. Jan Pilat; X. Ossowskiego zastajemy jeszcze w 1821 roku; potem mieszkali tutaj: X. Adam Podrez; w 1830 roku X. Jan Olizarowicz z X. Józefem Kuleszą; później X. Mikołaj Fiedorowicz, X. Mikołaj Szkiłądź i X. Wincenty Gościmiński lat kilka i w roku 1842 X. Franciszek Ginejt i X. Jan Sipko. Dotąd jest tam parafia, w której teraz (1911 r.) wiernych 4.130.

Smora.

---

[1]) Encyklopedya Orgelbranda tom XV. p. 513.

[2]) Sapunow, 75-letie witebskoj gimnazii, Witebsk 1884 p. 153.

KRONIKA.

Chiny. — W notatce statystycznej, zamieszczonej w „Rocznikach“ przeszłorocznych (1912, 3, str. 247 i n.), podano że „misyjna działalność Zgromadzenia rozciąga się na dziewięć wikaryatów apostolskich w Chinach“. W roku ubiegłym utworzyła Stolica Apostolska nowy, dziesiąty wikaryat apostolski, oddzielając na prośbę wikaryusza apostolskiego w Pekinie, księdza biskupa Jarlin, od jego wikaryatu dystrykt Tien-cin, który powierzono nowemu biskupowi z naszego Zgromadzenia, ks. Pawłowi Dumond. Brewe apostolskie ustanawiające nowy wikaryat, nazwany Czeli nadmorskie, wydano 27-go kwietnia 1912 r. — Przy tej okazyi nie od rzeczy będzie podać kilka szczegółów historycznych o pracy Zgromadzenia w Chinach (Cfr. *Annales* z r. 1911 i 1912).

Marzeniem św. Wincentego było, żeby Zgromadzenie dotarło aż do Chin. Wysyłając swych synów duchownych na Madagaskar, wyrażał nadzieję, że może to krok stanowczy na drodze do tak upragnionego celu. Zmarły poźniej na Madagaskarze ks. Estienne odstąpił nawet przypadającej nań rocznej renty na ten cel Świętemu. Dopiero wszakże w roku 1699 docierają do Chin Misyonarze, jako uczestnicy ekspedycyi apostolskiej w liczbie 35 kapłanów z różnych Zgromadzeń, wysłanej do Chin w roku 1697 przez papieża Inocentego XII. Byli to księża Ludwik Appiani, Włoch, i Jan Müllener, Niemiec z Kolonii, który w ciągu podróży poprosił o przyjęcie do Zgromadzenia. W kilka lat potem podążył

za nimi ks. Pedrini, także Włoch, który przybywa do Pekinu w roku 1710.

Zapoczątkowana tak przez nich praca Zgromadzenia w Chinach zaczęła się naprawdę rozwijać, kiedy dekretem Propagandy z dnia 7-go grudnia 1783 roku papież Pius VI. oddał Zgromadzeniu naszemu misye pojezuickie w Chinach. Uroczystego objęcia misyi w Pekinie dopełnili w dniu 29-tym kwietnia 1785 roku księża Raux i Ghislain wraz z br. Paris. W tym samym niemal czasie obejmowali misye po Jezuitach portugalskich Konfratrzy z prowincyi portugalskiej, a mianowicie kolegium św. Józefa w Makao, przeznaczone na wychowanie kapłanów krajowych. Już w roku 1759 chciał rząd portugalski po zniesieniu Jezuitów powierzyć naszym ich posterunki misyjne. Nie czując się jednak na siłach do objęcia tak obszernego pola pracy, zgodzili się tylko na wychowanie młodzieży duchownej, chcącej się poświęcić tej pracy, i to w Makao i w Pekinie oraz w Lizbonie. Wszystkich Misyonarzy portugalskich od roku 1784 przybyło do Chin 23. Z ich liczby wybierała też Stolica Apostolska w pierwszych latach wieku XIX. kandydatów na stolice biskupie w Pekinie, Nankinie i Makao.

Właściwy rozkwit pracy Zgromadzenia przypada na wiek XIX., zwłaszcza na drugą jego połowę, a dzisiaj dochodzi on do szczytu. Jest to już trzeci okres rozwoju chrześcijaństwa w „cesarstwie środka“. Nie licząc drobnych początków w pierwszych zaraz wiekach, zaznaczyć trzeba misyę franciszkańską w XIII. i XIV. wieku, której główną ozdobą był O. Jan de Montecorvino, w roku 1308 konsekrowany jako arcybiskup Pekinu. Drugi okres świetności, jezuicki, zaczyna się w roku 1601, z chwilą przybycia do Pekinu O. Mateusza Ricci, a trwa przez wiek XVII. i XVIII., aż do zniesienia zakonu, 1773 roku.

Zgromadzenie nasze, objąwszy misye pojezuickie, miało zwierzone sobie nietylko gminy chrześcijańskie rozsiane po całych właściwych Chinach, ale nadto w Mongolii i w Mandżuryi, do czego później dodano i Koreę.

Stan taki trwał w latach 1783 — 1830. W roku 1831 oddzielono Koreę, tworząc w niej osobny wikaryat apostolski. Od roku zaś 1834 zaczęto myśleć o ustanowieniu dalszych wikaryatów, które zrazu oddane naszym Misyonarzom, przeszły około połowy wieku XIX. częściowo w ręce innych Zgromadzeń. I tak w ciągu wieku XIX. dokonało się zwolna uregulowanie misyi chińskiej i jej stopniowy podział pomiędzy różne Zgromadzenia zakonne. Naczelne stanowisko przywiązane jest zawsze do misyi w Pekinie, będącej w ręku naszego Zgromadzenia. Stolicę biskupią zajmowali Misyonarze potugalscy. W roku 1846 mianował król portugalski na tę godność ks. Castro. Propaganda zaś zamieniła stolicę tę na wikaryat apostolski, na którego objęcie jako niezgodne z życzeniami rządu portugalskiego nie zgodził się ks. Castro i powrócił do swej ojczyzny. Miejsce jego zajął ks. biskup Mouly, Misyonarz francuski, jako administrator, 1846 roku.

Według statystyki, wydanej w Zikawei, było w roku 1910 na całym obszarze powierzonym dawniej naszemu Zgromadzeniu: 1 dyecezya w Makao, 40 wikaryatów apostolskich, 4 prefektury, 1 misya samoistna, a chrześcijan wszystkich 1.299.085. Obok naszych konfratrów, których wyniki pracy podano już w „Rocznikach" w zeszłym roku (1912, 3), pracuje tam 7 Zgromadzeń zakonnych, Franciszkanie, Jezuici, Dominikanie, Augustyanie, Cystersi, Werbiści i Misyonarze z Scheutveld, oraz kapłani z 4 seminaryów Misyj Zagranicznych, w Paryżu, w Medyolanie, w Rzymie i w Parmie, a nadto księża świeccy, krajowi i europejscy.

Dla zajęcia się sprawami, zwłaszcza finansowemi w obrębie naszych misyj ustanowiono prokurę na Chiny z siedzibą w Makao (1832), przeniesioną następnie do Ningpo (1852), a ustaloną ostatecznie w Szangaju (1857). Prowincyę osobną chińską utworzono dopiero w roku 1889. Okólnikiem zaś O. Generała Fiat z dnia 24 października 1910 ustanowiono dwie prowincye, północną, z siedzibą ks. wizytatora w Szala pod Pekinem, i południową, z siedzibą ks. wizytatora w Kiaszing

w północnym Czekiangu. Do prowincyi północnej należy obecnie dom wychowawczy w Szala oraz 5 wikaryatów apostolskich: Czeli północne ze stolicą w Pekinie (1856), Czeli południowo-zachodnie z rezydencyą wikaryusza apostolskiego w Czengtingfu (1858), Czeli wschodnie z rezydencyą w Jungpingfu (1899), Czeli środkowe ze stolicą w Paotingfu (1910), Czeli nadmorskie z rezydencyą w Tiencin (1912). Do prowincyi południowej zalicza się dom wychowawczy w Kiaszing i prokura chińska w Szangaju oraz 5 wikaryatów apostolskich: Czekiang zachodni z rezydencyą w Hangczeu (1839), Czekiang wschodni z rezydencyą w Ningpo, Kiangsi północne ze stolicą w Kiukiang (1838), Kiangsi południowe ze stolicą w Kinganfu (1879) i Kiangsi wschodnie ze stolica w Fuczeufu (1885).

Nowy wikaryat apostolski, Czeli nadmorskie, utworzono dla nadzwyczajnego wzrostu ludności chrześcijańskiej w tych stronach. W roku 1903 liczono w dystrykcie Tiencin zaledwo 3.000 wiernych; w czerwcu 1911 roku było ich już 31.000, a nadto było 2.000 katechumenów. Konsekracya nowego wikaryusza apostolskiego, ks. Dumond, odbyła się w niedzielę dnia 30-go czerwca 1912 roku w Pekinie, a w ciągu następnego tygodnia objął nowy biskup rządy swego wikaryatu.

Dnia 2-go czerwca 1912 roku umarł w Kiaszing ks. biskup Kazimierz Vic, pierwszy wikaryusz apostolski wschodniego Kiangsi. Śmierć nastąpiła wskutek wyczerpania sił w ciągu jego 26-letniej pracy biskupiej, a 34-letniej w ogóle jako Misyonarza w Chinach. Następcą jego został ks. Ludwik Clerc-Renaud, zajęty od kilkunastu lat pracą apostolską w tymże wikaryacie.

Persya. — Księża Misyonarze i Siostry Miłosierdzia pracują w tym kraju od połowy wieku XIX. Zgromadzenie nasze weszło po raz pierwszy do tego kraju 1840 roku. Od roku zaś 1882 ma w swem ręku delegacyę apostolską na Persyę. Po zmarłym dnia 11-go lutego 1910 roku delegacie, ks. arcybiskupie Lesné, objął rządy tamtejszej misyi,

jako delegat apostolski i arcybiskup Ispahanu, wizytator prowincyi i superyor domu w Urmii, ks. Jakób Emil Sontag. Obok niego pracuje w Persyi 22 księży Misyonarzy w pięciu domach: Urmia (1841), Chosrowa (1841), Teheran (1862), Tebriz (1900) i Ispahan (1903). Mimo wewnętrznych wstrząśnień i walk toczących się około konstytucyi, mimo zbrojnej interwencyi Rosyi i Anglii, zajęcia i prace Misyonarzy i Sióstr idą zwykłym trybem, jak czytamy w przeszłorocznych *Annales* francuskich. Z Tebriz naprzykład, obsadzonego przez wojska rosyjskie, pisał w styczniu ks. superyor Berthounesque: „Mimo wielkich trudności mamy w pracy swej powodzenie. Szkoła liczy 82 uczniów ormiańskich, a 65 muzułmanów. Jest to największa dotychczas osiągnięta liczba uczniów. Tak samo pomyślnie rozwija się praca Sióstr Miłosierdzia. Do szkoły ich uczęszcza przeszło 100 uczenic, pobierających naukę religii oraz języka ormiańskiego i francuskiego. Prócz tego prowadzą zakład sierót, przez który działają dużo dobrego. Z pośród 30 sierót schizmatyckich przeszło połowa przyjęła katolicyzm“.

W ślad za polityczną przewagą Rosyi wdarł się i ucisk religijny wobec unitów. W Chosrowie, jak pisze w swym liście jedna z Sióstr, zaszło nawet kilka odstępstw, ale na szczęście wszyscy przeważnie znowu wracają na łono Kościoła (Cfr. *Annales* 1912, 2 i 3).

Syrya. — Jak czytamy w „Rocznikach“ francuskich (1912, 2), przechodzi ludność na Libanie pod względem religijnym od lat kilkunastu ciężkie przesilenie. Protestanci angielscy i amerykańscy, podobnie jak od kilkudziesięciu lat w Persyi, rozwijają gwałtowną propagandę, mnożą szkoły, wywierając wpływ wielki. Stądto Misyonarze muszą wielkie robić wysiłki, by podtrzymać szkoły parafialne, jako zaporę działalności protestanckiej. — Misye w tych stronach, tak jak i w Chinach objęli nasi i z końcem wieku XVIII. (1784). Dzisiaj prowincya syryjska liczy domów 7 w Syryi i jeden w Aleksandryi (w Egipcie); a w nich pracuje przeszło 50 konfratrów. Ks. superyor Ackaouy pisze z Brumany, w sty-

czniu 1912 roku: „Dawni nasi Misyonarze zajmowali się tylko północną częścią Syryi. Toteż na południu przeważnie rozwielmożnili się protestanci; liczą oni tu już 10 ognisk misyjnych i około 138 szkół dobrze zorganizowanych. Stąd dom nasz w Brumanie (założony w roku 1905) ma przedewszystkiem stawiać tamę temu naporowi protestanckiemu i czyni też to z coraz większym skutkiem. Od półtrzecia roku dano już 23 misye na południowym Libanie, a sześć w Palestynie". Trafiali się ludzi, którzy nie spowiadali się od dziesięciu, piętnastu, więcej nawet lat. Liczne nawrócenia, pogodzenie poważnionych, były skutkiem tych misyj. W pracy pomagają Misyonarzom na Libanie kapłani maroniccy.

Abisynia. — O misyi tej, zroszonej potem Wielebnego Justyna de Jacobis, czytamy w „Rocznikach" francuskich, (1912, 2) następujące szczegóły: „Ks. Justyn de Jacobis podążył do Abisynii w roku 1839, otrzymawszy juryzdykcyę na całą Etyopię. Wnet jednak zaczął się podział. W roku 1843 utworzono oddzielny wikaryat apostolski Sudanu, 1846 wikaryat apostolski krainy Gallasów, 1895 prefekturę apostolską Erytrei, zamienioną dziś na wikaryat apostolski. Z śmiercią ks. de Jacobis (1860) liczył cały olbrzymi wikaryat apostolski 5.000 katolików. W roku 1895 musiało Zgromadzenie opuścić Abisynię". — Pięciu było wikaryuszów apostolskich ze Zgromadzenia: Ks. Justyn de Jacobis (1849—1860), ks. Wawrzyniec Biancheri (1860 — 1865), ks. Ludwik Bel (1865 — 1868), ks. Marcel Touvier (1868 — 1888), ks. Jakób Crouzet (1888—1895), przeniesiony w roku 1895 na Madagaskar; szósty, ks. Stefan Jougla nie mógł objąć rządów wikaryatu z powodu odwołania księży Misyonarzy. — „Opuszczając Abisynię zostawili konfratrzy na pomniejszonem polu pracy 12.000 katolików oraz około 30 kapłanów krajowców. W roku 1897 wracają księża Misyonarze do Abisynii, lecz dotąd niema wikaryusza apostolskiego. W roku 1906 odłączono nadto część południową powierzonego Misyonarzom terytoryum i przyłączono ją do wikaryatu kraju Gal-

lasów, zostającego pod zarządem OO. Kapucynów. W ręku naszych konfratrów są następujące rezydencye: Alitiena, gdzie pracuje czterech księży Misyonarzy, 8 kapłanów krajowców, jeden zakonnik i 7 zakonnic krajowych. Jest tam ładny kościołek, szkoła dla 60 chłopców, w których wychowują się przyszli kapłani krajowi. Główne przedmioty naukowe to religia, język *amarigna* czyli urzędowy, język *gheez* czyli liturgiczny oraz śpiew liturgiczny ich obrządku narodowego. Zakonnice prowadzą szkołę, do której uczęszcza około 20 uczenic. — Filią Alitieny jest Aiga, gdzie niedawno odbudowany kościół obsługuje jeden kapłan krajowy. Pracuje tam nadto jedna zakonnica. — Jeden konfrater wraz z jednym kapłanem krajowym oraz trzy zakonnice pracują w drugiej rezydencyi, Guala, gdzie dwa pokoje zamieniono na kaplicę dla wiernych. — Nadto w Mai-Brasio pracuje dwóch kapłanów krajowców i jeden zakonnik. I oni otwarli kaplicę dla wiernych w swym domu, gdyż nie mogą uzyskać pozwolenia na odbudowanie dachu na zniszczonym kościele. — Na ogólną liczbę blizko 4 milionów mieszkańców na całem swem terytorymm misyjnem mają konfratrzy około 1.400 katolików".

Madagaskar. — (Cfr. *Annales*, 1912, 2). Dla wielkiego upadku na siłach i zdrowiu prosił wikaryusz apostolski południowego Madagaskaru, ks. biskup Crouzet, Ojca św. o koadjutora i uzyskał takiego w osobie ks. Karola Lasne, od piętnastu już lat pracującego w tej misyi. Odnośne brewe apostolskie wydano dnia 25-go lutego 1911 roku. Przy tej okazyi uważał O. Generał za stosowne, żeby z misyi madagaskarskiej utworzyć osobną prowincyę z ks. biskupem Jakóbem Crouzet'em jako wizytatorem na czele. Prowincya ta dzieli się na 4 dystrykty: Fort-Dauphin, Tulear, Farafangana i Betroka; każdy z nich liczy kilka stacyj misyjnych. Ks. Crouzet rezyduje w Fort-Dauphin, ks. Lasne w Farafangana, jako superyor i wicewizytator. — Siostry Miłosierdzia mają trzy domy, w Fort-Dauphin, Tulear i Farafangana. W ostatnim jest schronisko dla trędowatych.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Wśród polskich wychodźców w Zachodnich Niemczech. — O nowem polu pracy Zgromadzenia w ostatnich dwóch latach otrzymujemy następujące, urzędowe sprawozdanie: „W roku 1911 dwu kapłanów ze Zgromadzenia księży Misyonarzy, a w roku 1912 trzech pracowało nad wychodźcami polskimi w Zachodnich Niemczech: w prowincyi Hanowerskiej i w Księstwie Brunświckiem, to jest na całym obszarze dyecezyi Hildesheim. Wszystkich Polaków w obrębie tej dyecezyi jest co najmniej 55.000. Pracują oni zarówno w przemyśle, jak na roli. Ci, którzy pochodzą z Królestwa Polskiego lub z Galicyi, wracają na zimę do domu, bo według krajowej ustawy pruskiej nie wolno im stale przebywać w granicach państwa pruskiego. Pastoracya wśród nich nosi więc cechę pewnego pośpiechu, spotęgowanego jeszcze tem, że wskutek licznych trudności, na jakie napotyka, odbywać się musi prawie wyłącznie nocną porą. — Pracy duszpasterskiej nad wychodźcami podjęło się Zgromadzenie na zaproszenie Przewielebnego księdza biskupa Adolfa Bertram z Hildesheim. W każdej miejscowości głównym naszym celem było podniesienie na duchu, utwierdzenie w wierze i w moralności, a zatem kazania i Sakramenta św. — Oto krótkie zestawienie pracy: W roku 1911 pracowało dwu księży (ks. Konstanty Witaszek z Kleparza i ks. Jan Paszyna z Nowejwsi) od 6-go lipca do 2-go listopada. 6.596 emigrantów odprawiło u nich spowiedź św. W roku 1912 pracowało trzech księży (ks. Wilhelm Szymbor z Kleparza, ks. Jan Paszyna i ks. Michał Sadowski z Nowejwsi) od 1-go kwietnia do 20-go października. 15.085 emigrantów odprawiło u nich spowiedź św.“.

Rio Claro. *Z listu ks. Kandory z dnia 23-go października 1912 roku.* — Według polecenia Przewielebnego ks. Wizytatora, wybrałem się po księży Konfratrów i po Siostry Miłosierdzia, ale dowiedziawszy się, że już ks. Mięsopust na całą wyprawę czeka w S. Paulo, zostałem w Thomaz-

Coelho. Po ich przyjeździe wybrałem się po kilku dniach wraz z ks. Anicetem Weissem do Rio Claro. Siostry zaś zjechały dnia 2-go października, by być na odpuście i na poświęceniu szkoły. W niedzielę dnia 6-go października przypadła uroczystość Matki Boskiej Różańcowej, pod której wezwaniem jest nasz kościół. Wielka tedy uroczystość się zapowiadała, bo i odpust w parafii i poświęcenie szkoły. Mieliśmy nadto urządzić loteryą fantową. Modliłem się gorąco o pogodę na ten dzień. Widocznie mnie wysłuchała Matka Najświętsza i chciała nam zapewne wynagrodzić za przeszły rok, gdyż służyła nam prześliczna pogoda przez cały czas. Każda uroczystość Matki Bożej gromadzi liczne rzesze w świątyniach, a u nas na odpuście tem więcej. W tym roku jeszcze nowa atrakcya, bo mieli ludzie zobaczyć i Wielebne Siostry Miłosierdzia, których tak dawno wyczekiwali, a nawet już zwątpili o ich przyjeździe. To też już w sobotę wieczorem na nieszporach kościół wypełnił się po brzegi, a mnóstwo wiernych otoczyło konfesyonały, w których zasiadło pięciu kapłanów. Spowiedzi mieliśmy około 500. W sam dzień zaś jeszcze więcej ludu zaczęło zjeżdżać wozami i konno, tak iż kościół otoczony był w około. Uroczystą sumę i procesyę odprawił ks. Superyor Bayer w asystencyi ks. Wróbla i ks. Weissa; kazanie zaś wygłosił ks. Superyor ks. Mięsopust. Następnie udaliśmy się do szkoły, w której dopełniłem ceremonii poświęcenia. W końcu odbyła się loterya fantowa, która przysporzyła nam nieco grosza.

Szkoła rozwija się już dzisiaj pięknie; liczy dzieci około 90, co na początek dobrze świadczy; a od Nowego Roku zgłasza się daleko więcej, tak że miejsca nie będzie dla dzieci, chcących zamieszkać u Sióstr. Wiele trudów jeszcze wymagać będzie dalsze prowadzenie tej szkoły.

---

†

Ś. p. Siostra Anna Dydysz,

zmarła w Domu Centralnym w Krakowie, dnia 7 maja 1912, licząc lat wieku 79, powołania 63.

Tracąc tę ukochaną Siostrę, Zgromadzenie utraciło bardzo wiele, to też gorącem pragnieniem naszem było zachować w pamięci na długie lata to życie tak pełne ofiarności i poświęcenia, aby młode pokolenie zachęcane przykładem tak pięknym, mogło go brać za wzór do naśladowania. Tu jednak wielką napotykamy trudność, takby się chciało opisać całe jej życie, ale niestety, z Sióstr, które ją znały i ceniły w latach jej młodości, nie pozostała już żadna prawie, a do nas doszły tylko urywkowe szczegóły. Zresztą, była to cecha wybitna tego pięknego charakteru, działać zawsze w ukryciu, tylko pod okiem Boga i dla Niego samego; trzeba więc było znać ją bardzo z blizka, by podpatrzeć niejako to dobre, które czyniła, a które umiała zawsze osłonić pozorem pewnej surowości. Ale, jeżeli niemożliwem jest streszczenie całego życiorysu naszej kochanej Siostry Anny, to prawdziwą pociechą i potrzebą serca tych, które pod koniec jej życia blizkiemi jej były, podać choć kilka szczegółów o tem życiu tak pełnem zasług.

Siostra Anna wychowała się w domu Sióstr naszych u św. Kazimierza we Lwowie; do dziś dnia imię jej zapisane w złotą księgę świadczy, że pod każdym względem zachowała się wzorowo, mimo wielkiej żywości charakteru, z którą nieraz w życiu walkę staczać musiała. Dalsze nauki pobierała u P. P. Benedyktynek, zawsze z równem powodzeniem. Już wtenczas jako młoda panienka odznaczała się

wielką bystrością umysłu, ciętym dowcipem i bardzo wesołem usposobieniem; można więc było przypuszczać, że świat łatwo ją pociągnie. Stało się jednak inaczej; wrodzona żywość i wesołość nie przeszkadzały jej widocznie do poważnych rozmyślań. Jeszcze w czasie pobytu w zakładzie spostrzeżono w niej wielkie zamiłowanie do surowych umartwień, a przecie klauzura ze swemi ostrożnościami nie pociągnęła Siostry Anny. Zrozumiała, że miłość w czynie to miłość najdoskonalsza, że życie pracy i poświęcenia dla bliźnich, dla ubogich przedewszystkiem, to życie, które czyni nas najpodobniejszymi do Tego, który stał się człowiekiem na to, by być wzorem naszym. Ukryć się, upokorzyć, wyniszczyć, tak jak to uczynił Boski nas Zbawiciel, by przez to drugim niebo otworzyć, nie szczędząc siebie nigdy i w niczem, to powołanie Córki Miłosierdzia. — Siostra Anna poszła za niem, przekładając je ponad życie w zakonie. Miała zaledwie lat 16, gdy została przyjętą do Seminaryum, które znajdowało się wówczas we Lwowie. O jej pobycie w tej kolebce powołania nie mamy żadnych szczegółów, ale całe jej życie późniejsze, a najbardziej ostatnia choroba świadczyła, że musiała dobrze się przejąć duchem świętego naszego Ojca; w każdej bowiem ważniejszej sprawie, jak i w drobnych szczegółach życia, zawsze zadawała sobie pytanie, czy św. Wincenty to lub tamto byłby uczynił, i sprawa była skończona, gdy miała to przekonanie, że święty nasz Ojciec nie byłby pochwalił jakiego przedsięwzięcia.

Po wyjściu z Seminaryum została umieszczona w Rozdole, gdzie jej powierzono opiekę nad dziećmi; kochała je nad wyraz. W późnej starości wspominała mile czas przepędzony wśród dziatwy, lubiła opowiadać różne jej figle i prawdziwą pociechą jej było, gdy czasami pośród niej jeszcze znaleźć się mogła. Siostra Anna nie zadawalała się pociechą, jakiej doznawała patrząc na te niewinne istoty, do których tak dziwnie zniżyć się umiała; otoczyć opieką biedne opuszczone sieroty, ustrzedz je od zepsucia świata, to było jej ulubione dzieło. Nie szczędziła wtedy ni trudu ni sta-

rań różnych; ni wiek ni słabe w ostatnich latach zdrowie powstrzymać jej nie mogło, kiedy chodziło o umieszczenie biednej sieroty, o zabezpieczenie jej utrzymania, albo nawet o sprawienie jakiejś przyjemności, zdawało się wówczas, że Siostra Anna to jedno ma tylko na myśli. Jak doszła do celu swych starań, umiała zwykle tak wszystkiem pokierować, że ci, którzy korzystali z jej dobrodziejstw, nie domyślali się nawet, że je zawdzięczają Siostrze Annie. Nie przyjmowała żadnych podziękowań. „Dziękujcie Bogu“, mawiała, „i tym, którzy dla was robią coś dobrego, ja nic nie mogę, nic nie mam“. I rzeczywiście myślano, że Siostra Anna nic nie uczyniła.

Po kilku latach pobytu w Rozdole Siostra Anna została odwołaną do Lwowa do domu św. Wincentego. Żal jej zapewne było opuszczać ukochaną dziatwę, ale ta ofiara miała być nagrodzona nową pociechą. Służyć Panu Jezusowi w cierpiących Jego członkach, jakież to szczęście dla prawdziwej Córki Miłosierdzia! — Siostra Anna z całą gorliwością zabrała się do tej pracy, z wielką troskliwością starała się o niesienie ulgi i zaspokojenie wszystkich potrzeb ukochanych panów swoich Jej dobroć i uczynność budzi tu zaufanie we wszystkich, udawano się więc do niej jak do matki, bo wiedziano, że nie poszczędzi ni sił ni starania, by przyjść z pomocą. Wkrótce zyskała też sobie ogólną miłość i szacunek, ale pomimo, że tak dobrze odpowiadała swoim obowiązkom, jednak nie było jej dane długo zażywać pociechy w służbie chorych. Choć celem powołania naszego to poświęcenie się dla ubogich, ale w niem Córka Miłosierdzia na chwilę zapominać nie może o własnem swojem uświęceniu. Bóg dobry przyjmując jej ofiarę, daje zwykle duszom prawdziwie Mu oddanym, sposobność do coraz nowych, doskonalszych ofiar, aby tym sposobem uczyły się coraz bardziej umierać sobie, „żyć życiem łaski“. Spędzić czas dłuższy wśród dzieł naszego powołania, a potem być od nich zupełnie usuniętą, to jedna z największych ofiar w życiu Córki Miłosierdzia; siłę do jej spełnienia czerpie się tylko w mi-

łości dla Zgromadzenia. Tę miłość prawdziwą i rozumną posiadała Siostra Anna w najwyższym stopniu. Czuła to dobrze, że o tyle dobrego Zgromadzenie uczynić może ubogim, o ile w nim dobrze się dzieje; poświęcić się więc dla dobra Zgromadzenia znaczy tem skuteczniej pracować dla ubogich, choć bez naturalnego zadowolenia i pociechy. Ale choć to rozumiała, jednak czuła ciężkość ofiary i bunt natury; walka była długa i trudna, ale o niej świadczyły tylko łzy, które nieraz płynęły z oczu Siostry Anny, kiedy się modliła przed Panem Jezusem. Poza tem słowo skargi z ust jej nie wyszło. Pożegnała na zawsze ukochanych chorych i objęła trudny i delikatny urząd sekretarki, najprzód przy Siostrze Wizytatorce Borowskiej u św. Wincentego, a następnie, gdy ta czcigodna Siostra złożyła urząd, a objęła go Siostra Talbot, Siostra Anna została przez nią wezwana w roku 1863 do Krakowa, dokąd został przeniesiony Dom Centralny, i tu w dalszym ciągu pełniła ten urząd aż do końca życia.

Jeżeli niejedną walkę stoczyć musiała w spełnianiu urzędu, który ją trzymał z dala od ukochanych panów naszych, to jeszcze we Lwowie pociechą jej było, że się znajdowała wśród osób, z któremi się zżyła, które kochała i ceniła, w domu, który był kolebką jej powołania. Tu w Krakowie, wszystko obcem jej się wydawało w pierwszej chwili; znalazła się pod kierunkiem Przełożonej, z którą nawet dla trudności językowych nie zawsze mogła się porozumieć; zimno jej było i nieswojsko, w duszy zerwała się straszna burza, pokusa tęsknoty za tem, co opuściła. Charakter mniej silny, wola słabsza, byłyby się może złamały w tej walce. Siostra Anna wyszła z niej silniejsza, bo wzmocniona nowem zwycięstwem łaski nad naturą. Bóg dobry nie zostawił też długo wiernej służebnicy swojej bez nagrody za ofiary, które czyniła dla Niego; lody pękły i najlepsze porozumienie zapanowało między Siostrą Talbot a jej sekretarką. Było to do przewidzenia; zanadto te dwie dusze zbliżone było do siebie wspólnością dążeń, zanadto obie kochały Boga i Zgro-

madzenie, żeby długo mogły były pozostać sobie obcemi. Siostra Talbot obdarzyła swoją sekretarkę największem zaufaniem, a ta odwzajemniała się wielkiem poświęceniem, szacunkiem i przywiązaniem, która lata przetrwało. Jeszcze w ostatniej chorobie, gdy się chciało prawdziwą przjemność sprawić Siostrze Annie, rozpoczynałyśmy rozmowę o Siostrze Talbot. — W ważnym urzędzie, w jakim się znajdowała Siostra Anna, okazała wkrótce nietylko nadzwyczajne poświęcenie, ale też i zdolność wybitną w prowadzeniu interesów, nieraz bardzo trudnych; zjednała też sobie szacunek i uznanie różnych władz, z któremi miała do czynienia. Po kilku latach znano Siostrę Annę w całym Krakowie, bo obowiązki jej urzędu zmuszały ją do częstego wychodzenia z domu. Z torbeczką na ręku biegła szybko, zajęta zawsze Bogiem i swoim obowiązkiem. Nie zawsze jednak w torbie Siostry Anny znajdowały się tylko papiery; były tam nieraz różnego rodzaju zapasy: ubrania, słodycze, a nawet zabawki, bo zajęcie się interesami i sprawami Zgromadzenia na chwilę nie dało jej zapomnieć, że jest sługą ubogich. Tych wspierać było tak konieczną potrzebą jej duszy, że umiała zawsze i czas znaleźć i obmyślić środki i sposoby do niesienia ulgi, a szczególniej takim, którzy ręki wyciągać nie umieją. Ile łez otarła wśród takich wycieczek, to tylko Bogu samemu wiadomo.

Ale czas powiedzieć, czem była ukochana nasza Siostra Anna wśród towarzyszek swoich w Domu Centralnym, w którym 47 lat przeżyła. Nie była zapewne bez wad, jej charakter żywy, a nawet gwałtowny wymykał się z jej rąk, nieraz nie umiała ukryć oburzenia, szczególniej, gdy się spotkała z samolubstwem i brakiem gorliwości, wypowiadała wtedy słowa prawdy z całą szczerością; to zabolało niejedną, ale jakże starała się to wynagradzać, gdy ochłonęła z pierwszego wzruszenia, jak się wtedy upokarzała, to pozostanie na zawsze w pamięci tych, które na to patrzyły. Pokora, ten kamień węgielny powołania naszego, była jej ukochaną cnotą; ukrywać się, pozostawać na ostatniem miejscu, to było tak

naturalnem u Siostry Anny, że nawet nie próbowano sprzeciwiać się temu jej upodobaniu, bo wiedziano, że jej się tem przykrość sprawi. Co było najbardziej uderzającem w jej pokorze, to, że nigdy nie przechodziła w przesadę; tam gdzie trzeba było działać, a szczególniej bronić spraw Zgromadzenia, tam umiała wysunąć się naprzód. Ale Siostra Anna zrozumiała prawdziwie tę piękną cnotę. Obok pokory, jaśniała w Niej wielka miłość. Siostra Anna, jak się wyraziła o niej jedna Siostra znająca ją z blizka, kochała wszystkich, nie znosiła, by w jej obecności źle mówiono o kimkolwiek, a gdy nie mogła kogo usprawiedliwić, mawiała: „Tej sprawie lepiej dajmy spokój“. Tak, jak pokora, tak i miłość jej była uporządkowana; wiedziała, że nie wystarczy Córce Miłosierdzia kochać ubogich, że jeszcze bliższemi jej sercu powinny być te, które Zbawiciel nasz wspólnie z nią na służbę Swą powołał. Jak pełną miłości, dobroci, usłużności, była dla nich, to zaświadczyć mogą Siostry, które bliższe stosunki łączyły ze Siostrą Anną. Jeżeli które darzyła szczególną miłością, to były Siostry chore na infirmeryi, którym niosła wszystko, co im im tylko przyjemność lub ulgę sprawić mogło, i takie, które z powodu trudnego charakteru mało wogóle były lubiane. Dla tych dusz biednych, które zwykle więcej cierpią same, niż cierpienia zadają drugim, Siostra Anna miała współczucie i wyrozumienie bez granic; umiała je przygarnąć, pocieszyć, podnieść na duchu; przy niej czuły, że jeszcze mogą być pożyteczne, mogą coś dobrego uczynić; jej były one niezbędne. Prawda, że Siostra Anna nieraz może doznała i wielkiej trudności w znoszeniu tych charakterów, ale to niczem dla niej było wobec tej myśli, że ratując powołanie uratuje dusze. Dziwnie też Bóg błogosławił jej w tej pracy zwracania dusz do Niego, a choć czasami robiono jej zarzuty, że tym dogadza i te pieści, które najmniej na to zasługują, ona nie zważała na to, nie osobiste cele miała na widoku. Wiemy też dobrze, jak ją kochały te, którym w ten sposób dopomogła do wytrwania w powołaniu i do przygotowania się do prawdziwie dobrej i budującej śmierci.

Jeżeli Siostra Anna budowała nas swoją pokorą i miłością, to nie mniej pięknym rysem jej charakteru był wielki duch wiary w stosunku do przełożonych. Przez 63 lat, które przeżyła w Zgromadzeniu, zawsze w blizkiem zetknięciu z przełożonymi, widziała wiele zmian, każdą głęboko odczuła, bo zawsze prawdziwym szacunkiem, czcią i miłością otaczała przełożonych, bez względu na ich osobiste przymioty, czy też na zgodność charakterów i zapatrywań. Ona w ich osobie widziała Boga, to jej wystarczało. A jednak, znając jej charakter gwałtowny, który nie lubił spotykać się z oporem tam, gdzie jej rozum i doświadczenie mówiło, że ma słuszność, rozumiało się dobrze, ile ona walk stoczyć musiała, ile gwałtu sobie zadać, by zachować tę pełną uszanowania uległość. W miarę, jak się posuwała w lata, ta walka stawała się dla niej coraz trudniejszą, gdyż różnica zapatrywań wzrastała z latami.

Patrząc na nią z blizka, po jej twarzy wybladłej i zżółkłej poznawałyśmy, że miała jakieś zmartwienie; przyczyny nie odkryła nigdy, zbyła zwykłym sobie żartem lub dowcipem, gdy była o nią pytana, a przykrość swoją składała u stóp Pana Jezusa. Czasem, gdy która z Sióstr bliżej Siostry Anny będąca, dała jej poznać, że odgadła przyczynę jej smutku, odpowiadała z żywością: „Tak, boli mię to, ale o tem nie mówmy; przełożeni mają łaskę od Boga, niech robią, jak uważają za stosowne, — my się módlmy! I spokojnie odchodziła od swoich zajęć, by wykonać z całym zapałem polecenie, które tak wiele ją kosztowało. Dziwnie ten charakter na pozór tak twardy, łagodniał z latami, przybywało jej coraz więcej słodyczy i wyrozumienia; była prawda, twardą do końca, ale tylko dla siebie, dla drugich miała zawsze słowo uprzejme na ustach, uśmiech na twarzy. Nie trudno chyba odgadnąć, w czem Siostra Anna czerpała siłę do walki ze sobą i z trudnemi okolicznościami życia: w gorącej, szczerej, prawdziwej pobożności, która zawsze i we wszystkiem szuka tylko Boga i Jego Najświętszej Woli.

Wierna praktykom Zgromadzenia, codziennie, aż do ostatniej chwili, spieszyła o godzinie 4. na pierwsze uderzenie dzwonka, by pierwsza przybiedz do kaplicy, i tu, u stóp Jezusa utajonego w Przenajświętszym Sakramencie krzepiła duszę do trudów, pracy i cierpień. Mimo zamiłowania w modlitwie, Siostra Anna zadawalała się zawsze praktykami Zgromadzenia, uważając szukanie rzeczy nadzwyczajnych, jako przeciwne duchowi prostoty, którą odznaczać się powinny Córki Miłosierdzia.

Zamiłowanie w umartwieniu, jakie okazywała od młodości, nie opuściło jej ani na chwilę, z tą tylko różnicą, że i tu również, strzegła się wszystkiego, coby na nią oczy zwrócić mogło. Przyjmowała bez różnicy wszystko, co jej dawano, nie prosząc nigdy o nic, chociaż i wiek i słabe zdrowie nieraz wymagało jakiego złagodzenia w twardem życiu, jakie prowadziła. Jeżeli jej dano jaką słodycz, nawet w ostatniej ciężkiej i długiej chorobie, dziękowała, ale prosiła usilnie, aby tego nie czyniono: „jej się to nie należy, ona jest grzesznicą, która tylko pokutować powinna, — zresztą ubodzy tego nie mają“, i najczęściej, to co jej przyniesiono, by jej sprawić ulgę, szło dla kogo innego.

Choć nasza ukochana Siostra Anna dużo w życiu cierpiała, ale widać Pan Jezus chciał zwiększyć jej koronę, próbując ją aż do ostatka, krzyżując w tem, co jej było najboleśniejsze. Żywa i ruchliwa zawsze, w ostatnich dwóch latach życia została dotknięta ciężką chorobą serca, do której przyłączyła się wodna puchlina. Od tej pory każdy krok był dla niej prawdziwem męczeństwem, brakło jej oddechu za każdem poruszeniem, nogi spuchnięte dźwigały ją z trudnością, a mimo to, choć z wielkiem wysiłkiem, wstawała codzień przed 4-tą i udawała się do kaplicy, gdzie zawsze klęcząc odprawiała wszystkie ćwiczenia.

Przytomność i bystrość umysłu zachowała do ostatniej chwili, a choć choroba, która ją trawiła, zmusiła ją w ostatnich czasach do tak ciężkiej dla niej bezczynności, jednak Zgromadzenie, jego sprawy, powodzenie lub niepo-

wodzenie, zawsze żywo ją obchodziły, zawsze gotową była służyć dobrą radą i wspierać drugich w pracy, swoją modlitwą i cierpieniem. „Bądźcie pewne“, mawiała nieraz, „że się modlę za was bardzo, ale kto wie, czy dla moich grzechów Pan Bóg tę modlitwę przyjmie“.

W połowie marca cierpienie jej znacznie się pogorszyło, lekarz nie ukrywał nam, że koniec w każdej chwili nastąpić może. Na tę ostatnią chwilę Siostra Anna gotową była od dawna: trzy razy w czasie ostatniej choroby przyjęła ostatnie Sakramenta, bo trzy razy w przeciągu tego czasu zdawało nam się, że już ją utracimy. Zawsze budowała nas żywą wiarą i wielką pokorą, przepraszając głośno za wszystkie zgorszenia, jakie dać mogła Zgromadzeniu. Przy zbliżającej się uroczystości św. Józefa, zapowiedziała nam, że ją pewnie święty staruszek w dzień swego święta zabierze z tego świata. To też, gdy nadszedł ten oczekiwany przez nią dzień, zaraz rano po Mszy św. kilka Sióstr udało się do Siostry Anny, by się dowiedzieć, jak się miewa. Zastały ją wesołą i uśmiechniętą, jak zawsze, a kiedy zaczęły z niej żartować, że się w przepowiedniach swoich pomyliła, tak jak Siostra Katarzyna Labouré, trochę zawstydzona odpowiedziała: „Tak, pomyliłam się; trzeba jeszcze pokutować za grzechy“. I rzeczywiście długie tygodnie miała trwać ta jej straszna pokuta. — Dnia 25 marca mogła tylko w swojej izdebce, przy Komunii św. ponowić śluby, bo nogi zupełnie odmówiły posłuszeństwa. Wiedziałyśmy, ile ją kosztuje ta niemożność udania się na Mszę św.; prosiłyśmy więc, by się dała zanieść w fotelu. Oburzyła się na to, prawie pogniewała. Przypomniałyśmy, że przecież św. Wincenty, choć taki umartwiony, a pozwolił się zanosić do kościoła; myślałyśmy, że ten przykład ją zachęci. Oburzyła się jeszcze bardziej: „Nie mówcie mi o tem, — św. Wincenty był świętym, ja jestem grzesznicą, nie pozwolę nigdy na to, aby mnie noszono“, i — trzeba było ustąpić.

W pierwszy dzień Wielkanocy wielkie pragnienie, by raz jeszcze być obecną Przenajświętszej Ofierze, przemogło-

jej cierpienia. Choć z nadludzkim wysiłkiem, Siostra Anna ubrała się i zapowiedziała nam, że idzie na Mszę św. do infirmeryi; straszna to była podróż, jeszcze straszniejszy powrót, a jednak mimo bólu, mimo strasznego zaduszenia, staruszka nasza była rozpromieniona. Po powrocie do izdebki, po chwili wypoczynku powiedzała otaczającym: „Teraz wiem już na pewno, że to było ostatni raz, ale niech się dzieje Wola Boża". Rzeczywiście od tej chwili, nie przestąpiła już progu swojej izdebki, cierpienia stawały się coraz dotkliwsze; wkrótce, nie mogła już nawet ani na chwilę wejść do łóżka, musiała dzień i noc pozostawać w fotelu, a i tu nawet oprzeć się nie mogła z powodu duszności. Otaczające ją Siostry, a przedewszystkiem nieodstępna jej towarzyszka, Siostra Bolesława Kontowt, pragnęły przynieść choć trochę ulgi biednej chorej; ich starania przyjmowała z wdzięcznością, ale starała się zaraz odwracać ich uwagę od siebie.

„Ja nic nie cierpię, — cóż to jest w porównaniu z cierpieniami drugich; nie zajmujcie się mną, to nie warto,— stary grat musi skrzypieć" — i zwracała rozmowę na inny przedmiot. Jedno, co zawsze przyjmowała mile, to świeże kwiaty; te lubiła nadzwyczajnie, jak również ptactwo. Razu pewnego, kiedy może zapomniała na chwilę, że jej się tylko należy sroga pokuta za jej grzechy, jakby w przewidzeniu radości i uciech nieba, zaczęła z dziecięcą prostotą opowiadać nam, jakie cudne kwiaty rosną w niebie, a na ich gałązkach pełno cudownych ptasząt, ale po chwili dodała: „To jeszcze nie dla mnie; trzeba czekać, kiedy Bóg zechce".

Ze szczególnem upodobaniem w czasie choroby lubiła Siostra Anna otaczać się młodemi Seminarzystkami, a choć te nie zawsze zręcznie jej usługiwały, zadawalała się ich dobremi chęciami i mawiała, gdy im co ganiono: „Dajcie im spokój, nauczą się, przecież one chcą dobrze". I rzeczywiście, na wyścigi biegły do Siostry Anny, bo tam zawsze usłyszały dobre słowo, zachętę do cnoty i pracy, i budowały się jej cierpliwością w znoszeniu cierpień. Wśród

długich bezsennych nocy, w czasie których Seminarzystki czuwały przy chorej, lubiła im dawać różne nauczki, jak kochać powołanie, Zgromadzenie, ubogich, jak korzystać z czasu, kiedy się jest młodą i zdrową, a szczególniej podnosiła w ich oczach zasługę posłuszeństwa i poszanowania dla władzy. To też czuwanie przy Siostrze Annie było prawdziwą nagrodą.

Jeszcze jedna próba czekała naszą ukochaną chorą. Siostra Bolesława należała do tych dusz, które Siostra Anna umiała przeistoczyć i podnieść do Boga, — stąd wywiązał się pomiędzy niemi stosunek bardzo ścisły. Z jednej strony, była to dobroć, czułość, troskliwość macierzyńska, połączona nieraz z surowością, kiedy tego było potrzeba, z drugiej strony, uczucie wdzięczności, poświęcenia bez granic; były niezbędnemi dla siebie. Nikt też nie umiał tak dogodzić naszej staruszce, jak Siostra Bolesława. Wiedziała ona o tem dobrze i dzień i noc jej nie odstępowała. Ale w poświęceniu swojem posunęła się za daleko; zawsze bardzo słabego zdrowia, ciągłem czuwaniem wyczerpała je do ostatka, tak, że już w początkach kwietnia, zdawało się, że wyprzedzi Siostrę Annę do wieczności. Jednak siła woli, która w podziw wprowadzała lekarzy, zwyciężyła, i dotrwała na swojem stanowisku do końca kwietnia. Obie chore dobrze znały swój stan, obie z równym spokojem oczekiwały śmierci, obie, modliły się ciągle, by je Pan Bóg równocześnie powołał do Siebie. Widać, że Bóg przyjął mile tę ich modlitwę, ale od obydwu w ostatnich dniach zażądał ciężkiej ofiary, którą spełniły z budującem poddaniem.

W ostatnim tygodniu życia, Siostra Bolesława już nie mogła dźwignąć się z łóżka, musiała przystać, by ją zastąpiono. Teraz zdawało się, że nowe życie wstąpiło w Siostrę Annę; kazała sobie ustawić fotel tak, żeby mogła widzieć chorą towarzyszkę, a choć sama nieruchoma ciągle czuwała nad tem, czy Siostra Bolesława ma wszystko, co jej potrzeba. Gdy ją pytano, jak się miewa, czy jej nie można w czem ulżyć, wskazywała na Siostrę Bolesławę i mówiła:

Bibl. Jag.

„Ją ratujcie, ona młoda, o mnie mniejsza, ona dla mnie tak się zamęczyła“. Ta myśl była jej bardzo bolesną. Dnia 7-go maja pod wieczór z Siostrą Bolesławą było tak źle, iż byłyśmy pewne, iż nocy nie przeżyje. — Siostra Anna była tego samego mniemania, a nawet z niepokojem pytała: „Jak myślicie? ona pewnie tej nocy umrze, dajcie dziś jeszcze na Mszę św. za jej duszę, żeby nie została długo bez pomocy“. Chcąc ją przygotować na wszelki wypadek, nie taiłyśmy, że niebezpieczeństwo bardzo groźne. Ten niepokój widocznie działał na bardzo już słabe serce Siostry Anny. Lekarz przed wieczorem orzekł, że obie chore prawdopodobnie nocy nie przeżyją. Bolesną była dla nas ta wiadomość; nie chciało się prawie wierzyć, żeby osoba tak pełna jeszcze życia, tak bardzo przytomna, miała nas tak prędko opuścić. Przez ostrożność jednak, dwie Siostry miały czuwać przy chorych, a Siostra Asystentka została w przyległym pokoju, aby być gotową na każde wezwanie.

Koło godziny 9-tej chore zasnęły spokojnie, nadzieja wstąpiła w serca, że ta noc może nie będzie ostatnią. O godzinie 11-tej Siostra Anna przebudziła się i prosi, by okryć lepiej jej zbolałe nogi. Siostra czuwająca pyta, jak się ma, czy czego nie potrzebuje; odpowiada z uśmiechem: „Bóg zapłać! tak mi dziś dobrze. — Jak tamtej?“ pyta wskazując na siostrę Bolesławę, „to ważniejsze“, — i w tej chwili bez żadnego konania zesuwa się ze swego fotelu. Paraliż serca w jednej chwili położył kres temu życiu, tak pełnemu zasług i poświęcenia. — Siostra czuwająca ledwie zdążyła wymówić nad umierającą Najświętsze Imiona Jezusa i Maryi, a już jej piękna dusza uleciała z tej ziemi; mamy nadzieję, po nagrodę wieczną. Siostra Bolesława choć sama konająca, zdołała jeszcze powstać z łóżka i przy umierającej zapalić gromnicę, którą z wieczora przygotowała dla siebie. Ona również przywołała S. Asystentkę.

Długą chwilę obecne nie mogły ochłonąć z wrażenia wobec śmierci tak przewidzianej, a jednak tak nagłej. Pociechą była ta myśl, że to chyba szczególna łaska Boża

oszczędziła jej trwogi konania. Tej ostatniej chwili Siostra Anna obawiała się zawsze, mimo dobrego przygotowania, a nawet pragnienia śmierci. Dziwny spokój i wyraz dobroci malował się na jej twarzy, zdawała się mówić nam jeszcze: „Bądźcie pewne, że bardzo za was modlić się będę“. Toteż mamy tę pewność, że Siostra Anna przed Bogiem nie zapomina o nas, o Zgromadzeniu, które tak całą duszą kochała; mamy również nadzieję, że Pan Bóg mile jej prośby przyjmuje, tak jak mile przyjąć musiał jej duszę, gdy ten świat opuściła. Dziwne jakby widzenie miała w tej chwili umierająca Siostra Bolesława; zdawało jej się, że słyszy cudne śpiewy dusz, które z nieba wyszły na spotkanie Siostry Anny: „O jaka szczęśliwa moja staruszka“, powtarzała ciągle, „cóż to za śmierć, jakże pięknie modlą się te dusze z tamtego świata! Jakaż tu jasność! i ja tam pójdę jutro“,.. dodawała.

Była to środa rano, 8-go maja, a rzeczywiście we czwartek 9-go maja, właśnie w chwili, w której wracałyśmy z pogrzebu naszej ukochanej Siostry Anny, Siostra Bolesława oddała Bogu ducha.

Trudno żałować tych, którzy szczęśliwą śmiercią schodzą z tego świata, a jednak po Siostrze Annie żal został, pustka nie da się zapełnić, bo brak tego wielkiego, a tak kochającego serca daje się odczuć na każdym kroku. Daj Boże, abyśmy korzystając z przykładu, jaki nam zostawiła, zrozumiały wszystkie, że miłość, tu i w wieczności, to zadanie Córki Miłosierdzia.

Ś. p. Siostra Walentyna Tomaszewska,

zmarła w Domu Centralnym, dnia 21 września 1912, licząc lat wieku 34, powołania 13.

Bóg zażądał nowej ofiary od Zgromadzenia, zabierając jedną z najlepszych robotnic w winnicy Pańskiej. Pra-

gnąc oddać hołd cnocie, chcę parę słów skreślić o tej duszy wybranej, która żyła dla Boga i bliźnich, nie szukając rozgłosu swej pracy.

Ś. p. Siostra Walentyna mieszkała w naszym domu na Łobzowie przez dwa lata. Pełna ducha Bożego, od pierwszego dnia zaraz zabrała się do pracy bez rozpatrywania tych niedostatków, które dla słabej duszy są powodem zwątpienia, czy podoła swej pracy wobec tylu trudności.

Był to początek nowo założonego zakładu wychowawczego, ale bez żadnego stałego zaopatrzenia na przyszłość. Ta dusza gorliwa patrzała naprzód, nie rozbierając trudności swej pracy; wiedziała, że Bóg podoba Sobie, by zupełną złożyła ufność w Jego świętej Opatrzności. Powodowana miłością Boga poczęła wpajać w serca wychowanek pobożny zwyczaj odmawiania każdego dnia psalmu: „Kto się w opiekę“, i sama doniosłym głosem przewodniczyła. Nie miała silnego zdrowia, lecz o tem nie chciała nawet wiedzieć. Pierwsza była do wspólnej pracy; do czego nakłaniała dzieci, to wpierw własnym przykładem pokazywała, a przez to wzbudzała chęć do pracy w wychowankach.

Szczególniejszy miała dar do kierowania młodemi sierotami., o umysłach płochych, niestałych, które zawsze szukają zaspokojenia zachcianek urojonych, a nie czują zadowolenia w zakładzie; umiała je zająć stosowną zabawą lub śpiewem. Zdawało się, że pod okiem tej dobrej mistrzyni, ustąpić musi wszelkie znudzenie. Dziatwa kochała bardzo swą Siostrę mistrzynię, to też jedna przed drugą spieszyła, by zasłużyć na jej względy, bez ujmy dla wspólne miłości.

Wszystkie miały równy przystęp do jej pieczołowitej troskiwości. Umiała pozyskiwać charaktery harde i uporne roztropną przestrogą. Mało używała kary, trzymała się zdania św. Franciska Salezego, że „więcej much chwyta się na kroplę miodu, niż na beczkę octu“.

Cóż powiem o życiu wśród naszego grona. Kochana Siostra Walentyna w rodzinnem kółku była zawsze wzorem w zachowaniu świętych Reguł, pomimo częstego cierpienia,

nie lubiła dłuższego spoczynku, mówiąc, że nie ma później czasu, aby Bogu wypłacić, co się Jemu należy, a dzień idzie mi koszlawo. Lubiłyśmy ją widzieć na wspólnej rekreacyi, zawsze wesoła, pełna dowcipów, nigdy nie obrażała się lekkiem słówkiem i potrafiła żart wymówić na dobro towarzyszki. To też miłe nam było życie wspólne, bez kwasów. Ona zawsze była zadowolona, usłużna dla drugich. Nigdy nie odmówiła żadnej usługi towarzyszkom, zadowolona, że mogła usłużyć, bądź to jakąś robotą, bądź naprawką.

Kochana Siostra miała zawsze dla wszystkich czas wolny, pomimo, że robota u dzieci z powodu niedostatku zajmowała każdą chwilę, by swoją zręcznością, przemysłem coś przysporzyć, a ze starego zrobić nowe ubranie. Nie długi czas mieszkała w naszym domu kochana Siostra Walentyna. Kiedy Najczcigodniejsza Siostra Wizytatorka odwołała ją z domu naszego, przeznaczając do domu pracy na Kaźmierzu, to okazało się, ile była tu kochaną. Nie było osoby w domu, by nie spieszyła, aby choć małą dostać pamiąteczkę.

Wspomnę jeszcze o tem, że ś. p. S. Walentyna miała wielkie nabożeństwo do św. Józefa, pełna ufności, że za przyczyną św. Józefa wszystko uprosi u Boga, wyuczyła wychowanki różnych pieśni ku czci tego Świętego i każdego dnia idąc na spoczynek przed wizerunkiem św. Józefa śpiewały jedną lub dwie zwrotki. Ufność kochanej Siostry wzmagała się, gdy niespodzianie nadeszła jaka jałmużna dla sierot w środę, jako w dniu poświęconym czci św. Józefa. Wtedy z rozradowaną twarzą mówiła: „Proszę Siostry, jaki św. Józef dobry; wie, że brak grosza w domu, to też już przysłał“.

Ś. p. Walentyna bardzo kochała nasz ubogi domek, to też Siostra Służebna w Domu Pracy czyniła jej tę przyjemność, że mogła mnie odwiedzać, zwłaszcza w mej chorobie.

Dziwnym zbiegiem okoliczności ostatnie odwiedziny były w lipcu, przyszła do nas wraz z całą gromadką swych wychowanek z Domu Pracy na Kaźmierzu. Gdy się rozpoczęła wspólna zabawa wraz z naszemi sierotami, przyszedł do nas Najczcigodniejszy Ojciec Dyrektor przed swoim od-

jazdem do Ameryki. Zgromadziłyśmy się wszystkie razem, by pożegnać Najczcigodniejszego Ojca na tak daleką podróż i wspólnie odebrałyśmy błogosławieństwo z życzeniem, by, gdy powróci, widział nas wszystkie zdrowemi. Kochana nasza Zmarła ani nie przypuszczała, że to ostatnie pożegnanie, bo gdy umarła, to Najczcigodniejszy Ojciec jeszcze nie powrócił z Ameryki.

Wszyscyśmy bardzo uczuli stratę tak dobrej Siostry i miło mi, że mogę oddać jej hołd za prace, które spełniała w naszym domku.

Starsze wychowanki odprowadziwszy jej zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku, poczęły przypominać sobie, co ich Mistrzyni dla nich dobrego uczyniła, z tem postanowieniem, że zawsze będą wdzięczne, ratując ją modliwą, jeżeli jeszcze nie ogląda Oblicza Bożego. *S. J. L.*

Zmarli Misyonarze:

Ks. Józef Hanley, 4 sierpnia w Dublinie; żył lat 72 w Zgromadzeniu 49

Br. Karol Ritter, 30 sierpnia w Kansas-City; żył lat 45, w Zgromadzeniu 20.

Ks. Karol Juillard, 17 września w Paryżu; żył lat 73, w Zgromadzeniu 46.

Br. Piotr Mentzen, 21 września w Quito; żył lat 67, w Zgromadzeniu 42.

Br. Sebastyan Roth, 27 września we Wiedniu; żył lat 83, w Zgromadzeniu 53.

Ks. Hadryan Grangier, 30 września w Smyrnie; żył lat 66, w Zgromadzeniu 46.

Ks. Jędrzej Lanna, 11 października w Macerata; żył lat 87, w Zgromadzeniu 71.

Kler. Ludwik Morone, 14 października w Paryżu; żył lat 22, w Zgromadzeniu 2.

Ks. Karol Rambaud, 13 października w Pekinie; żył lat 26, w Zgromadzeniu 4.

Ks. Jan Dubois, 19 października w Ingelmünster; żył lat 73, w Zgromadzeniu 50.

Ks. Optat Gaudefroy, 27 października w Froyennes; żył lat 71, w Zgromadzeniu 50.

Ks. Juliusz Mailly, 1 list. w Paryżu; żył lat 82, w Zgr. 53.

Ks. Antoni Dounet, 3 list. w Dax; żył lat 85, w Zgr. 54;

Br. Józef Wittet, 3 list. w Buenos-Aires; żył lat 66, w Zgr. 32.

Ks. Henryk White, 24 października w Baltimore; żył lat 77, w Zgromadzeniu 43.

Br. Piotr Valette, 23 list. w Dax; żył lat 81, w Zgr. 38.

Siostry Miłosierdzia:

S. Paulina Ostrowska, 19 lutego w Nowosiółkach; żyła lat 82, w Zgromadzeniu 55.

S. Helena Wolwaczew, 28 kwietnia w Założcach; żyła lat 63, w Zgromadzeniu 38.

S. Helena Razimowicz, 30 kwietnia w Domu Centralnym; żyła lat 62, w Zgromadzeniu 39.

S. Anna Dydysz, 7 maja w Domu Centralnym; żyła lat 79, w Zgromadzeniu 63.

S. Bolesława Kontowt, 9 maja w Domu Centralnym; żyła lat 38, w Zgromadzeniu 19.

S. Antonina Łotocka, 6 czerwca w Domu Centralnym; żyła lat 67, w Zgromadzeniu 48

S. Maryanna Ławniczak, 16 lipca w Domu Centralnym; żyła lat 58, w Zgromadzeniu 37.

S. Felicya Karpowicz, 8 września w Zakładzie im. Bilińskich we Lwowie; żyła lat 77, w Zgromadzeniu 43.

S Walentyna Tomaszewska, 21 września w Domu Centralnym; żyła lat 34, w Zgromadzeniu 13.

S. Anna Pawłowicz, 18 października w Budzanowie; żyła lat 83, w Zgromadzeniu 59.

S. Michalina Schmidt, 30 października w Nowosiółkach; żyła lat 44, w Zgromadzeniu 13.

R. I. P.

Pro memoria!

Confratres nostrae provinciae quoad SS. Confessiones in aliis dioecesibus excipiendas, ea quae sequuntur, attendant:

In dioecesi Cracoviensi, vi rescripti die 18. Decembris 1912, N. 8997 ad quinque annos dati, potest R. A. D. Visitator necnon RR. DD. Superiores domorum Confratribus ex aliis dioecesibus venientibus facultatem SS. Confessiones excipiendi concedere. In casu tamen longioris commorationis debent Confratres infra mensem prorogationem dictae facultatis ab Ordinariatu sibi procurare.

In dioecesi Tarnoviensi omnes sacerdotes nostri, de mandato vel licentia R. A. D. Visitatoris sive Confratribus sive sacerdotibus saecularibus iuvamen ferentes, gaudent iurisdictione ad excipiendas Confessiones quorumcumque fidelium, etiam quoad casus reservatos (dat. die 10. I. 1908).

In dioecesi Premisliensi omnibus nostris sacerdotibus, qui de mandato vel licentia Superiorum illuc perrexerint, concessa est iurisdictio ad excipiendas fidelium Confessiones, cum facultate absolvendi a casibus reservatis, die 15. Novembris 1911, ad triennium.

Intra fines archidioeceseos Leopoliensis pollent iurisdictione omnes nostri presbyteri: a) qui ad iuvamen ferendum a Superioribus ad tempus illuc mittuntur; b) qui ad tempus cum Superiorum licentia in praefata archidioecesi commorando, ut SS. Confessiones excipiant, rogantur; c) qui domibus Congregationis in dicta archidioecesi applicantur, donec facultates respectivas ab Ordinariatu in scriptis obtineant. — *NB.* Potestas absolvendi a casibus reservatis singulis concedetur Confratribus, pro quibus a R. A. D. Visitatore postulabitur. (22. XI. 1911).

In dioecesi Wratislaviensi iurisdictio ad excipiendas Confessiones Sororum Caritatis concessa est nostris Confratribus, usque ad revocationem, rescripto de die 27 Decembris 1905. Quae facultas per litteras Eminentissimi Principis Episcopi, datas die 4 Decembris 1911, extenditur ad audiendas etiam fidelium, tum domesticorum Sororum tum aliorum pie petentium Confessiones, quando Confratres ad Sororum excipiendas Confessiones ibidem morantur, dummodo parochi iure non contradicant.

In archidioecesi Posnaniensi, rescripto dato die 13. XII. 1912, ad quinque annos (1. I 1913 — 1. I. 1918) iurisdictio pro excipiendis SS. Confessionibus una cum facultate absolvendi a casibus reservatis concessa est illis tantum Confratribus, qui ad ministerium spirituale exercendum illuc pergunt. Aliis vero, qui sive recreationis sive privatorum negotiorum causa illuc fortasse aliquando proficiscentur, expetenda est expresse facultas SS. Confessiones audiendi sive etiam missam celebrandi.

In archidioecesi Gnesnensi omnes Confratres, qui de mandato vel consensu Superiorum ibidem degunt, iurisdictione ad audiendas confessiones omnium fidelium, etiam quoad casus reservatos, gaudent (dat. die 16. XI. 1911, ad quinque annos).

In dioecesi Culmensi concessa est facultas excipiendi Confessiones quorumcumque fidelium una cum facultate absolvendi a casibus reservatis omnibus provinciae nostrae sacerdotibus, de licentia vel mandato R. A. D. Visitatoris dictam dioecesim petentibus, ad dies officii R. A. D. Słomiński, Visitatoris (dat. die 13. I. 1908).

In dioecesi Warmiensi ab Illmo ac Rmo loci Ordinario (vivae vocis oraculo) concessa est iurisdictio omnibus Confratribus, ad tempus indefinitum.